

BROOKS PATSY

NIKT NIE LUBI TURYSTÓW

Tytuł oryginału EVERYBODY HATES A TOURIST

Robin spojrzął nerwowo na zegarek. Już wcześniej zdał sobie sprawę, że nie zdąży. Nie miał szansy dotrzeć na siódmą na Benedict Canyon Drive, ale gdyby Toby, jego kolega i zmiennik w myjni samochodowej, zjawił się w pracy punktualnie, a na stacji benzynowej nie byłoby kolejki do dystrybutorów, Robin spóźniłby się na imprezę o piętnaście, najwyżej dwadzieścia minut. Teraz wiedział, że przed ósmą nie uda mu się dojechać do domu Stelli Yates.

Odetchnął z ulgą, widząc brodatego mężczyznę wracającego ze sklepu na stacji i trzymającego w obu rękach torby z fast foodem. Brodaczy wszedł do granatowego sedana, tak się jednak guzdrał, że zanim odjechał, zwolniło się miejsce koło dystrybutora, przy którym stała biała furgonetka. Robin zrobił coś, czego zawsze starał się unikać - wykorzystując moment, kiedy kobieta siedząca za kierownicą czerwonej hondy się zagapiła, szybko podjechał do dystrybutora, chociaż ona była w kolejce przed nim.

Zamierzał zatankować do pełna, ale benzyna wlewała się tak wolno, że zniecierpliwiony, odwiesił pistolet, zanim bak napełnił się do połowy.

W sklepie na stacji była czynna tylko jedna z trzech kas. Stojąc w kolejce, znów raz po raz spoglądał na zegarek, a kiedy wreszcie udało mu się zapłacić i szedł już do wyjścia, przypomniał sobie, że miał kupić filtr paliwa. Znalazł go w dziale z akcesoriami samochodowymi. Podeszedł do kasy, z nadzieją, że nie będzie musiał ponownie stać w kolejce, najwyraźniej jednak wszystkim śpieszyło się tak jak jemu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zrezygnować z zakupu, ale przypomniał sobie, że w ciągu ostatnich paru dni kilka razy gasł mu silnik, a dziś rano, gdy jechał do pracy, ledwie go uruchomił. Obawiając się, że następnym razem w ogóle mu się to nie uda, stanął na końcu kolejki.

Gdy skręcał w swoją ulicę, dochodziła siódma. Na rogu stała grupa chłopców. Dopiero kiedy ich minął, uświadomił sobie, że był wśród nich jego młodszy brat, Sean.

Robin zdawał sobie sprawę, że zatrzymanie się oznaczałoby kolejne minuty spóźnienia, ale kiedy we wstecznym lusterku zobaczył, że większość chłopaków ma na sobie czarne spodnie i białe T - shirty - znaki rozpoznawcze członków gangu z ulicy Osiemnastej - zahamował i wrzucił wsteczny bieg.

Zanim samochód się zatrzymał, wychylił głowę przez otwarte okno. W jednym z chłopaków - smagłym osiłku o pokrytych tatuażami ramionach i niezbyt inteligentnej twarzy - rozpoznał Cesara Torresa. Jeszcze pół roku temu chodzili razem do szkoły, wiedział więc, że Cesar jest podejrzanym typem. Teraz aż zadrżał na myśl, że brat zadaje się z kimś takim jak

on.

- Sean, wsiadaj do samochodu! - zawołał. Sean - może dlatego, że chciał pokazać swoim kumplom, że nikt, nawet starszy brat, nie będzie mu dyktował, co robić, a może dlatego, że nie miał jeszcze ochoty wracać do domu - udał, że go nie słyszy.

- Wsiadaj do samochodu! - powtórzył Robin głosem tak ostrym i stanowczym, że Sean skapitulował.

Ruszył wolno w stronę brata, ale po chwili Cesar swoim masywnym cielskiem zagroził mu drogę.

- Coś ci, koleś, nie pasi? - spytał, uśmiechając się wyzywająco.

- Ty mi nie pasisz - odparł Robin. Znał język, jakim posługiwała się większość chłopaków z jego dzielnicy, ale nigdy dotąd go nie używał. Teraz jednak nie był pewny, czy Torres rozumie literacki albo potoczny angielski, postanowił więc sięgnąć do słownika chłopaków z ulicy. - I jeszcze nie pasi mi to, że jest z tobą mój braciak. On ma trzynaście lat - dodał po chwili.

Dopiero kiedy to powiedział, zdał sobie sprawę, co zrobił. Cesar Torres należał do ludzi, z którymi niebezpiecznie było zadzierać. Robin nie byłby szczery wobec siebie, gdyby udawał, że ten osiłek go nie przeraża.

Tymczasem Torres podszedł do samochodu i oparł się dłońmi o drzwi.

Jak większość chłopaków ze szkoły i z sąsiedztwa, Robin bał się go i ta świadomość tak go zirytowała, że zrobił coś, co każdy rozsądnie myślący człowiek, znający realia tej dzielnicy, uznałby co najmniej za lekkomyślne. Złapał dłonie, którymi Cesar oparł się o drzwi samochodu, i z całej siły je odepchnął.

Rozległ się szmer, po czym chłopcy w napięciu czekali na to, co się stanie. A że coś musi się wydarzyć, nikt nie miał wątpliwości. Po pierwsze, Cesar Torres nie tolerował takiego traktowania swojej osoby, a po drugie, wszystkie sprawy załatwiał w ten sam sposób.

- Wsiadasz z bryki czy mam ci w tym pomóc? - Skrzywił się, przez co blizna przecinająca prawy policzek zrobiła się głębsza, szpetniejsza i nadała jego i tak nieprzyjemnej twarzy wyraz okrucieństwa.

Sean przez chwilę stał bez ruchu, z otwartymi ustami, niewidoczny dla innych, którzy nie spuszczaali wzroku z Cesara Torresa i Robina. Nagle obszedł pikapa, otworzył drzwi i usiadł obok brata.

- Jedźmy - rzucił zdławionym z przerażenia głosem.

Robin zdawał sobie sprawę, że tak byłoby najmądrzej, ale na chwilę odezwała się w nim głupia ambicja, i ten moment wahania wystarczył, żeby Torres włożył swą wytatuowaną

łapę do wnętrza samochodu i wyrwał kluczyk ze stacyjki.

Robin chciał zamknąć drzwi, ale przypomniał sobie, że blokujący je przycisk - jak wiele innych części zdezelowanego pikapa - już od dawna nie działa. Ledwo zdążył o tym pomyśleć, a Torres otworzył je na oścież.

Robin zdał sobie sprawę, że nie ma przy nim najmniejszych szans. I zaraz po tym pomyślał, że z dzisiejszego przyjęcia u Stelli Yates nic nie będzie... przynajmniej dla niego. Zresztą i tak nie potrafił sobie wyobrazić, że jest na imprezie odbywającej się w posiadłości przy Benedict Canyon Drive, a tym bardziej nie widział tam siebie z podbitym okiem albo ze złamanym nosem.

Wyzywające spojrzenie Torresa przywołało go do rzeczywistości i uświadomiło mu, że myślenie o przyjęciu urodzinowym Stelli jest w tym momencie co najmniej śmieszne. Kiedy chodził do szkoły w swojej dzielnicy, słyszał, że ludzie, którzy w ten czy inny sposób narazili się Torresowi, obawiali się o swoje zdrowie, a nawet życie.

Właśnie poczuł podobny lęk, a jednak wysiadł z samochodu. Gdyby tego nie zrobił, tamten wyciągnąłby go siłą, a Robin nie chciał dać mu tej satysfakcji. Świadkowie zajścia byli wyraźnie zaskoczeni. Pewnie to, że sam wysiadł z samochodu, uznali za akt szaleńczej odwagi. Robina zupełnie nie interesowało, co o nim myślą, i jego umysł tylko zarejestrował ich reakcję. Ale Sean...

To było coś zupełnie innego. Sean był młodszym bratem, którym zawsze się opiekował. Nieco narwanym, trochę upartym, ostatnio zbuntowanym, ale dobrym chłopcem, którego należało chronić przed typami mającymi coś wspólnego z gangiem z Osiemnastej.

A tymczasem to on, Sean, wysiadł z samochodu i stanął między Robinem a Torresem, jakby swoim jeszcze dość drobnym trzynastoletnim ciałem chciał ochronić brata.

Robina tak to poruszyło, że zupełnie zapomniał o imprezie u Stelli Yates, która zaprzętała jego myśli przez ostatni tydzień, o strachu przed tym, co może z nim zrobić Torres, i o złości na Seana. Bo to przecież przez niego, przez tego smarkacza, którego kochał bardziej niż kogokolwiek na świecie, musiał teraz stanąć twarzą w twarz z typem wyższym o pół głowy i składającym się z samych nafaszerowanych sterydami mięśni i z agresji.

- Sean, wracaj do samochodu - rzucił głosem cichym, ale tak stanowczym, że brat nie zaprotestował.

Stał, wahając się. Zauważył w jego oczach łzy i od tej chwili nie liczyło się już dla niego nic poza tym, że Sean jest przerażony. Chciał go uspokoić, powiedzieć, żeby się nie bał, że on, Robin, poradzi sobie z Cesarem Torresem, choć wiedział, że to nieprawda.

Góra mięśni zbliżała się do niego, twarz o tępym wyrazie coraz bardziej krzywiła się

w uśmiechu. Torres zwlekał z atakiem, sadystycznie przedłużając w ten sposób męki swojej ofiary.

W ich dzielnicy graniczyło to niemal z cudem, ale Robin nigdy w życiu się nie bił, nikt go dotąd nie zaatakował. Nic więc dziwnego, że teraz nie miał pojęcia, jak się bronić, jaką przyjąć postawę. Schylić się, wyprostować, naprężyć brzuch, zasłonić rękami twarz, zacisnąć pięści i wyciągnąć je przed siebie...?

Cokolwiek by zrobił, i tak nie było dla niego ratunku. Jedyne, co mógł uratować, to swoją godność. I właśnie to zamierzał zrobić.

Wyprostował się, uniósł głowę i spojrzał Torresowi w oczy. Ten, zaskoczony taką zuchwałością, z niedowierzaniem pokręcił głową.

Robin ponownie zwrócił się do brata:

- Proszę cię, wróć do samochodu.

Sean już nie panował nad łzami; ciekły mu po policzkach. Mimo to znów stanął między Robinem a Torresem.

- Spadaj, łosiu - rzucił osilek, odpychając go z taką siłą, że Sean poleciał kilka metrów do tyłu i zatrzymał się na ścianie najbliższego domu.

Tego Robin nie wytrzymał. Chwycił Torresa za barki, próbując nim potrząsnąć, ale on nawet nie drgnął. Roześmiał się drwiącym, niemal piskliwym śmiechem, zupełnie niepasującym do jego postury i grubo ciosanej twarzy.

- W szkole mówili, że jesteś kumaty - powiedział, kręcąc głową. - Ale to ścierna. Jesteś tak samo niekumaty, jak inne kujony.

W dawnej szkole Robin był najlepszym uczniem. Na tyle dobrym, że pan Fraser, nauczyciel angielskiego, przez rok próbował mu pomóc w zdobyciu stypendium do innej szkoły - takiej, w której by się rozwijał. Prawda była taka, że w liceum w ich dzielnicy wyprzedzał pozostałych uczniów tak bardzo, że nie mógł się tam już niczego nauczyć. Chyba tylko tego, że należy się wystrzegać takich typów jak Cesar Torres. Bo tego najwyraźniej nie zdążył się nauczyć. Starania pana Frasera przyniosły skutek dopiero wtedy, gdy Robin zajął pierwsze miejsce w stanowym konkursie młodych talentów literackich.

Niewątpliwie był prymusem, jednak nikt nigdy nie nazwał go kujonem. Gdyby usłyszał to słowo z ust kogoś innego, poczułby się urażony, ale opinia takiego typu jak Torres nie obchodziła go ani trochę. Zignorował więc jego uwagę.

Torres wciąż się śmiał, a w Robinie, zdziwionym tym, że przeciwnik nie zadał mu jeszcze żadnego ciosu, zabłysł promyk nadziei, że może go jednak nie zaatakuje. Ale kiedy odwrócił się i chciał wejść do samochodu, Torres złapał go za szyję, ściskając tak mocno, że

Robin nie mógł złapać tchu. Torres obrócił go twarzą do siebie, ale nie zwalniał uścisku.

- Jeszcze z tobą, koleś, nie skończyłem. - Zarechotał mu prosto w ucho. - Nawet nie zacząłem.

Robin, czując, że się dusi, rozpaczliwie walczył o powietrze, a kiedy tamten wreszcie go puścił, miał wrażenie, że nogi ma z waty. W obawie, że się przewróci, szybko nabrał głęboko powietrza, raz i drugi.

Po kilku sekundach odzyskał równowagę i właśnie wtedy Torres zadał cios, tuż poniżej mostka.

Robin potoczył się kilka kroków do tyłu i jakimś cudem udało mu się nie upaść. Stojąc na miękkich nogach, zgiął się wpół, próbując zapanować nad bólem i gorączkowo myśląc, jak by się obronić przed kolejnym ciosem, bo co do tego, że Torres ponownie zaatakuje, nie miał wątpliwości.

Nagle poczuł, że ktoś chwyta go od tyłu za ramiona. Przekonany, że to Sean, wyprostował się i choć poczuł przy tym ból silniejszy niż dotąd, chciał odsunąć od siebie brata, żeby go ochronić. Ale ręce, które go trzymały, były znacznie większe niż drobne dłonie Seana i stanowczo za silne jak na trzynastoletniego chłopaka.

- Co jest?!

Robin usłyszał znajomy głos. Dusząc jęk bólu, odwrócił się i zobaczył Daryla Lincolna. Czarne źrenice odbijały się od białek oczu z niebieskawym odcieniem, a te z kolei kontrastowały z hebanową twarzą. Daryl był bratem Toby'ego, kolegi, któremu Robin pomógł załatwić pracę w myjni samochodowej. Mieszkali przy tej samej ulicy, trzy domy od siebie, i jeśli któregoś z chłopców z dawnej szkoły mógł nazwać przyjacielem, to właśnie Toby'ego.

O jego starszym bracie wiedział niewiele, tyle tylko, że wyglądem i zachowaniem - podobnie jak Toby - odróżniał się od większości chłopaków w ich okolicy. Nie nosił białych T - shirtów i czarnych spodni ani innych znaków rozpoznawczych członków gangu z ulicy Osiemnastej. Nie zadawał się z szemranymi osobnikami i nikt nigdy nie słyszał, żeby brał udział w bójkach. Mimo to - z nieznanego Robinowi powodu - budził w dzielnicy respekt i typy pokroju Cesara Torresa omijały go z daleka.

Jeśli ktokolwiek mógł teraz wybawić Robina z opresji, to tylko Daryl.

- Mam nadzieję, że on się potknął - odezwał się, łypiąc groźnie na Torresa. - Bo jeśli nie - tu zwrócił się do Robina - to mi tylko powiedz.

- Spokojnie - rzucił Torres. - Człowieku, nic się nie stało. To były tylko wygłupy.

- Tak? - Daryl uważnie przyglądał się Robinowi.

Jak na wygłupy, ból w okolicach mostka był wciąż stanowczo za silny, a jednak Robin

wyprostował się i skinął głową. Pojawienie się Daryla uznał niemal za cud i nie chciał niepotrzebnie przedłużać tej sceny.

- Jeśli Robin też uważa, że to były tylko wyglupy, to w porządku. - Daryl znów łypnął na Torresa, z którego twarzy zdążył już zniknąć uśmiech. - Ale jeżeli zmieni zdanie...

- Człowieku, dlaczego ma je zmieniać? Jasne, że to były wyglupy. - Posłał Robinowi fałszywy uśmiech. - Co nie, koleś?

Robin skinął głową, a kiedy się rozejrzył, zobaczył, że większość kumpli Torresa zniknęła. Zostali tylko dwaj, a i oni wolno wycofywali się za róg. Po chwili również Torres, rzuciwszy mu kluczyki samochodowe, podążył ich śladem.

- Wiem, że się nie potknąłeś - powiedział Daryl, kiedy zostali we trzech: on, Robin i Sean.

Robin wciąż miał trudności z oddychaniem.

- Dzięki za pomoc - rzucił, starając się nie krzywić z bólu.

- Mam nadzieję, że teraz Torres zostawi cię już w spokoju. - Daryl popatrzył mu w oczy i pokręcił głową. - Tylko nie rozumiem, co ty w ogóle tu z nim robiłeś.

- To moja wina - przyznał się cicho Sean. - To wszystko przeze mnie.

- Wsiadaj do samochodu - nakazał mu brat. - Pogadamy o tym w domu.

Sean bez słowa wykonał polecenie.

- Gdybyś kiedyś miał kłopoty z Torresem albo z którymś z jego kumpli, szepnij mi tylko słówko.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale dobrze mieć świadomość, że w razie czego jest się do kogo zwrócić. I jeszcze raz dziękuję za pomoc. Wolę sobie nie wyobrażać, jak by się to skończyło, gdybyś się nie pojawił.

- No, dla ciebie chyba niezbyt ciekawie - zgodził się z nim Daryl i poklepał go po ramieniu.

Zaczynało zmierzchać. Słońce schowało się już za jednym z hollywoodzkich wzgórz, ale jego poświata oświetlała całą posiadłość - dom, basen i wielki ogród. Mimo to ogrodnik Carlos, który wprawdzie w soboty miał wolne, ale dzisiaj od rana był na terenie posiadłości i pomagał w organizacji przyjęcia, podszedł do Stelli i spytał, czy włączyć przygotowane specjalnie na ten wieczór oświetlenie.

Stella spojrzała na zegarek, a potem w stronę krętego podjazdu, którym już od pół godziny nie nadjeżdżał żaden samochód. Goście byli dość punktualni. Kwadrans po siódmej doliczyła się ich dwudziestu sześciu, a od tego czasu przyjechał tylko Brian Burns. Zaprosiła trzydzieści osób. O Soni Goldman dowiedziała się już wcześniej, od jej przyjaciółki, Barbary Lee, że się rozchorowała i nie przyjdzie. Stelli brakowało więc tylko dwóch osób. Mogłaby uznać, że jest świetnie, skoro z trzydziestu zaproszonych gości na przyjęciu pojawiło się aż dwudziestu siedmiu. Tyle że na jednym z nieobecnych zależało jej szczególnie. I to właśnie z jego powodu chciała poczekać z włączeniem dekoracji świetlnej.

Kiedy poprzedniego dnia wieczorem Carlos zapalił światła na próbę, nie była zachwycona. Posiadłość i bez nich prezentowała się imponująco - jak na gust Stelli, zbyt bogato, w ten ostentacyjny sposób, którego nie lubiła. A w blasku iluminacji złoczone balustrady oraz marmurowe schody i tarasy stwarzały wrażenie przepychu graniczącego z ki-czem.

Wczoraj wieczorem, oślepiona kalejdoskopem barw, w pierwszym odruchu chciała poprosić Carlosa, żeby zapalił tylko lampy przy wychodzącym na basen tarasie, na którym miało się odbyć przyjęcie, ale kiedy zdała sobie sprawę, ile wysiłku kosztowało go przygotowanie tego specjalnego oświetlenia, udała, że jest zachwycona.

- Poczekajmy jeszcze trochę - powiedziała teraz do Carlosa.

- Robi się całkiem ciemno - zauważył.

- No, tak - przyznała, spoglądając na zachód. Wzgórze, za którym niedawno skryło się słońce, tonęło już w ciemności. Dochodziła ósma, była mała szansa, że ktoś jeszcze przyjedzie, nie musiała więc zaprzętać sobie głowy tym, jakie wrażenie wywrze jej dom na kimś, kto mieszka w biednej, południowej części środkowego Los Angeles, z tego prostego powodu, że ten ktoś postanowił nie skorzystać z zaproszenia. Gdy mu je wręczała, zobaczyła w jego oczach najpierw zaskoczenie, a potem wahanie. Mimo to podziękował i powiedział, że przyjedzie. Najwyraźniej zmienił zdanie.

- To jak, panienko? - spytał Carlos, widząc, że dziewczyna się zastanawia. - Włączyć?

- Tak, poproszę.

Carlos odszedł i po chwili taras i basen zatoneły w feerii barwnych świateł.

- O! - zawołała Ellen Wayne. - Pociągnęła przez słomkę łyk napoju serwowanego w świeżym orzechu kokosowym i dodała: - Chyba nawet ładniej niż na imprezie u Beverly.

Beverly Firth, która przed dwoma tygodniami urządziła przyjęcie urodzinowe, stała nieopodal i musiała to słyszeć. Stella próbowała dyskretnie dać Ellen o tym znać, ale ona albo tego nie dostrzegła, albo się nie przejęła i po chwili zaczęła głośno krytykować strój Natashy Baryschkov, nie zważając na to, że ta również jest akurat w pobliżu.

Przerwała dopiero wtedy, gdy Tom Blanchett wskoczył w ubraniu do basenu i ochlapał ją wodą. Nawet nie zdążyła zaprotestować, bo kilka sekund później w jego ślady poszedł Ben Dryfuss, tyle że zrobił to o wiele energiczniej, i Ellen cała ociekała wodą.

Oburzona, zwymyślała chłopaków, a Stella, uznawszy, że pięć minut spędzone w jej towarzystwie zdecydowanie wystarczy, skorzystała z zamieszania i odeszła. Idąc w stronę bufetu, przy którym stało kilka rozbawionych dziewczyn, zastanawiała się, dlaczego właściwie ją zaprosiła. Po chwili, na widok Guliki Gadhari, przypomniała sobie dlaczego. Zależało jej na tym, żeby na przyjęciu był Robin O'Rourke, którego znała od niedawna, i nie chcąc się narażać na pytania wścibskich dziewczyn, a może nawet chłopaków, nie robiła żadnej selekcji; zaprosiła, kogo się dało. Również Gulikę, która zaczęła chodzić do ich szkoły trzy miesiące temu, mniej więcej w tym samym czasie co Robin, po tym, jak zarząd szkoły, na tyle drogiej, że na wysyłanie do niej dzieci stać było tylko bogatych rodziców, przyznał stypendia dwojgu uczniom, wywodzącym się z biedniejszych środowisk.

Widząc, że Gulika jest sama, Ellen podeszła do bufetu. Miała ochotę zostać tu dłużej i dowiedzieć się, co tak rozbawiło stojące przy nim dziewczyny, że aż pokładają się ze śmiechu, ale wzięła dwa ananasy, wypełnione bezalkoholowym ponczem, i ruszyła na drugą stronę basenu, tam gdzie siedziała Gulika, z nogami zanurzonymi w wodzie.

- Przyniosłam ci poncz - powiedziała Stella, kucając obok niej. - A może wolisz coś innego - dodała po chwili, zdając sobie sprawę, że wzięła dla niej to, na co sama miała ochotę.

- Nigdy jeszcze nie piłam ponczu, ale chętnie spróbuję.

- To nie jest prawdziwy poncz, bo nie ma w nim alkoholu - wyjaśniła Stella.

- Pyszny - oceniła Gulika, pociągając napój przez słomkę. - Dziękuję.

Kucanie nie było najlepszą pozycją dla Stelli, która pół roku temu podczas gry w tenisa odniosła kontuzję kolana, usiadła więc i tak jak Gulika opuściła stopy do wody.

- Piękne jest to twoje sari - powiedziała, patrząc na turkusowo - fioletowy jedwab.

Ellen Wayne kilka minut wcześniej zdążyła już skrytykować ten ubiór, nie

omieszkając przy tym wyrazić zdziwienia, że „ta nowa” w ogóle została zaproszona, ale Stelli spodobał się pomysł Guliki, by zjawić się na przyjęciu w swoim narodowym stroju.

- Zawsze chciałam się nauczyć układać sari, ale nigdy mi to nie wychodziło - przyznała się.

- To wcale nie jest takie trudne.

- Pokażesz mi kiedyś?

- Chętnie.

Stella podskoczyła, kiedy poczuła, że ktoś ją łapie za kostkę, i po chwili nad powierzchnią ukazała się głowa Zacha O'Sullivanana, który przepłynął pod wodą całą długość basenu.

- Cześć, dziewczyny! - rzucił, dopłynął do drabinki, wyszedł na brzeg i usiadł obok Guliki. - Czemu siedzicie tu same? Dlaczego się nie bawicie? Chodźcie potańczyć.

- Niezły pomysł - powiedziała Stella. - Ale może najpierw się wytrzyj - zaproponowała, widząc pokojówkę Conchitę, idącą wzdłuż basenu z naręczem ręczników. - I włóż coś na siebie. Nie będziesz chyba tańczył w tych mokrych kąpielówkach.

- Panienko... - Conchita podeszła do nich najwyraźniej nie po to, żeby wręczyć Zachowi ręcznik. - Przy bramie *problemo*. - Choć mieszkała w Stanach Zjednoczonych od kilkunastu lat, jej angielski był jej własnym angielskim.

- To chyba powinnaś pójść z tym do taty - poradziła jej Stella, która zawsze uważała, że ojciec ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Do tego stopnia przesadzał ze środkami ostrożności, że zamienił ich dom w twierdzę, do której nie można się było dostać.

- Poszłam, ale pan Yates powiedział, iść do panienki.

- O co chodzi?

- Jest gość. Mówi, że zaproszony.

- No więc w czym problem? - spytała Stella.

- Nie ma zaproszenia, nie wchodzi. Tak powiedział pan Yates.

Stella wszystkim rozdała zaproszenia i każdemu przypominała, żeby mieć je ze sobą. No ale przecież ktoś mógł zapomnieć. Robin O'Rourke albo... Evelyn McCarthy...

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że poza nim to właśnie jej nie ma na przyjęciu. Evelyn była jedną z jej ulubionych koleżanek, a mimo to Stella zapragnęła, żeby to nie ona była osobą, która teraz z powodu idiotycznych zasad zarządzonych przez tatę nie może sforsować bramy.

- Jak się nazywa? - spytała.

- Kto? - Conchita nie była nierozgarnięta, ale czasami myślała bardzo powoli.

- No ten, który nie ma zaproszenia. Conchita zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć.

Dla zniecierpliwionej Stelli trwało to stanowczo za długo.

- Chłopak czy dziewczyna? - zapytała. - *Quien es? Un muchacho o una chica?* - dodała po hiszpańsku, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.

- *Un muchacho.*

- Robin?

Conchita skinęła głową.

- Robin O'Rourke? Pokojówka zawahała się.

- Jasne, że O'Rourke. Jeśli Robin, to musi być O'Rourke. - Stella odpowiedziała sobie sama. - Nie znam żadnego innego Robina. - Trzeba go wpuścić.

- Panienska pewna?

- Jasne, że tak! - zawołała dziewczyna, obawiając się, że jeśli Conchita będzie tu dalej stała, a potem, nie daj Boże, pójdzie jeszcze do taty, żeby się upewnić, czy można otworzyć bramę, Robin odjedzie.

- Powiem Marcosowi, ma wpuścić. Conchita miała już swoje lata, a do tego tuszę.

Stella uznała więc, że będzie szybciej, jeśli sama pobiegnie do Marcosa.

- Ja mu to powiem - rzuciła.

Zanim odeszła, wzięła ręcznik z góry stosu, który trzymała Conchita, i rzuciła go Zachowi.

- Wytrzymaj się i zaopiekuj Guliką!

- Chętnie - odparł.

Już tego nie usłyszała, ale biegnąc w stronę bungalowu, w którym mieszkał Marcos, odpowiedzialny za bezpieczeństwo posiadłości, pomyślała, że jeśli któryś z jej kolegów mógł się zająć tą nieśmiałą dziewczyną tak, by nie czuła się tu samotnie, to właśnie Zach.

Było dziesięć po ósmej, kiedy Robin wjeżdżał w pnącą się stromo w górę Benedict Canyon Drive. Gdy minął uderzającą przepychem rezydencję PickFair, którą znał dotąd tylko ze zdjęć i filmów, przemknęła mu myśl, że nawet jeśli dom Yatesów jest mniej okazały niż ten pałac, w którym mieszkali Mary Pickford, Douglas Fairbanks i Pia Zadora, to musi być wystawny. Przy Benedict Canyon Drive nie ma przecież biednych czy nawet skromnych posiadłości.

Czego tu właściwie szukał? Fakt, że chodził do szkoły z dziećmi najbogatszych mieszkańców Los Angeles, nie oznaczał jeszcze, że wśród tych ludzi było dla niego miejsce. W nowej szkole wciąż czuł się obco i nie spodziewał się, że dziś wieczorem to poczucie wyobcowania zniknie. Podejrzywał, że jeszcze bardziej się nasili.

Poza tym na przyjęcia urodzinowe chodzi się po to, żeby się bawić, a on nie miał nastroju do zabawy. Po ośmiu godzinach pracy w myjni samochodowej był zmęczony, a incydent z Cesarem Torreseem nie poprawił mu humoru. Wracając z Seanem do domu, przeprowadził z nim poważną rozmowę. Zdawał sobie sprawę, że jest tylko jego starszym bratem, a nie ojcem, ale nie chciał w to włączać rodziców, którzy i bez tego mieli wystarczająco dużo problemów. Pół roku temu ojciec miał wypadek na budowie. Przez dwa miesiące leżał w szpitalu i dopiero niedawno zaczął chodzić. Leczenie i rehabilitacja kosztowały majątek, tata wciąż nie pracował i nie zanosilo się na to, żeby mógł szybko wrócić do pracy, a towarzystwo ubezpieczeniowe zwlekało z wypłaceniem odszkodowania. Wiązali koniec z końcem tylko dzięki temu, że matka znalazła pracę na pół etatu, a Robin w każdy weekend zarabiał w myjni.

Myślał o tym wszystkim, mijając kolejne rezydencje, niektóre na tyle oddalone od drogi, że nie było ich widać, ale wystarczyło zobaczyć bramy z kutego żelaza i z mnóstwem złocień, by się domyślić, co się za nimi kryje.

Na wyjątkowo stromym odcinku drogi samochód zapyrkotał raz i drugi, a potem zgasł.

Robin zdusił w ustach przekleństwo. Kupił filtr paliwa, ale go nie wymienił, ponieważ szkoda mu było czasu. Teraz tego żałował.

Udało mu się dotoczyć na pobocze, zgasił silnik i zaciągnął ręczny hamulec. Mimo to pikap zaczął się staczać do tyłu. Robin kilkakrotnie przekręcił kluczyk w stacyjce, ale silnik nawet nie drgnął, a samochód toczył się coraz szybciej. Chłopak spojrzął w lusterko wsteczne i po plecach przeszły mu ciarki. Kilkadziesiąt metrów niżej droga ostro zakręcała. Zdał sobie

sprawę, że bez wspomaganie kierownicy, które przecież przy wyłączonym silniku nie działa, nie uda mu się pokonać zakrętu.

Nigdy dotąd nie był w takiej sytuacji, ale gdzieś w zakamarkach pamięci zaświtało mu rozwiązanie - może o nim gdzieś słyszał, może czytał. Nie był pewien, czy tak powinien postąpić, ale musiał spróbować. Włączył na siłę pierwszy bieg i raz po raz naciskał stopą na hamulec.

Podziałało. Samochód wciąż toczył się w dół, ale na tyle wolno, że Robin wszedł w zakręt na niewielkiej prędkości i bez problemu go pokonał.

Na odcinku, na którym się teraz znalazł, droga była całkiem płaska. Po kilkudziesięciu metrach samochód zatrzymał się i chłopak odetchnął z ulgą. Przez chwilę siedział w samochodzie, próbując się uspokoić.

Klimatyzacja, oczywiście, również nie działała, ale to nie z powodu temperatury, lecz z nerwów, na jego czole pojawiły się krople potu.

Wymiana filtra paliwa zajęła mu więcej czasu niż zwykle, ponieważ na dworze było już całkiem ciemno, a nie miał ze sobą latarki. Na szczęście silnik dał się uruchomić przy pierwszym przekręceniu kluczyka, Robin jednak siedział jeszcze chwilę w samochodzie, zastanawiając się, co robić. Rozważał za i przeciw.

Za tym, by wrócić do domu, przemawiało wszystko: zmęczenie, zły nastrój, poczucie, że nie należy do grona ludzi, którzy będą na przyjęciu, wreszcie półtoragodzinne spóźnienie. Bywał na imprezach u koleżanek i kolegów z dawnej szkoły. W tamtym świecie uchodziło wszystko, każdy przychodził sobie, kiedy chciał. Tego świata nie znał, przypuszczał jednak, że rządzą nim inne zasady, o których nie miał pojęcia.

Za tym, żeby pojechać na przyjęcie, przemawiało tylko jedno: chciał zobaczyć Stellę, dziewczynę o pszenicznych włosach, szczupłej, bladej twarzy, szarych oczach za okularami w drucianych oprawkach i delikatnym uśmiechu.

I ten jeden powód wystarczył. Nie zawrócił. Pojechał w górę Benedict Canyon Drive, rozglądając się na prawo i lewo w poszukiwaniu numeru posiadłości Yatesów.

Imponująca podświetlona brama, bogato zdobiona złoconymi ornamentami, pozbawiła go odwagi, którą próbował z siebie wykrzesać przez ostatnie kilka minut. Mimo to wysiadł z samochodu i podszedł do domofonu, nad którym zauważył oko kamery. Odetchnął głęboko i nacisnął przycisk. Był naiwny, spodziewając się, że usłyszy głos Stelli. Zamiast niej odezwał się mężczyzna. W pierwszej chwili Robin pomyślał, że to jej ojciec, ale było mało prawdopodobne, żeby ktoś, kto nazywa się Yates, mówił z meksykańskim akcentem.

Robin zdążył się rozejrzeć i zauważyć kilka kolejnych kamer. Domyślił się, że

mężczyzna widzi jego obtłuczonego pikapa. Obawiając się, że za chwilę usłyszy: „Żebraków nie wpuszczamy” albo coś w tym rodzaju, powiedział szybko:

- Jestem zaproszony na przyjęcie do Stelli Yates.

Tamten przez chwilę się nie odzywał, ale Robinowi wydawało się, że w ciszy, która zapanowała, słyszy jego niedowierzenie.

- Pokaż zaproszenie! - polecił mężczyzna.

- Cholera! - zaklął cicho chłopak. Miał je w kieszeni letniej marynarki, którą zamierzał włożyć, ale w końcu postanowił jej nie brać i została w domu. - Zapomniałem - wydukał.

- Pan Yates nakazał mi wpuszczać tylko tych, którzy mają zaproszenia - wyjaśnił mężczyzna.

- Rozumiem. Stella mówiła, żeby wziąć je ze sobą.

Trudno, pomyślał Robin. Wszystko tego dnia przemawiało za tym, że nie powinien być na imprezie. Poczul zawód, a jednocześnie ulgę, ponieważ ktoś lub coś zdecydowało za niego. Odwrócił się i ruszył w stronę swojego samochodu, ale po kilku krokach mężczyzna go zatrzymał.

- Jak się nazywasz?! - zawołał.

- Robin O'Rourke.

- Poczekaj chwilę. Sprawdzę, czy jesteś zaproszony.

- Dzięki - odparł Robin.

Minęło dobre dziesięć minut. W tym czasie zdążył się doliczyć ośmiu kamer, przyjrzeć wszystkim ornamentom na bramie - gryfom, lwim i smoczym paszczom, liściom winorośli - a nawet wrócić do samochodu po butelkę wody, żeby umyć ręce, które zabrudził podczas zmieniania filtra, co dopiero teraz zauważył. Na prawej ręce wciąż miał plamę od smaru i właśnie próbował zetrzeć ją chusteczką, kiedy w głośniku domofonu rozległ się głos.

- Możesz wjechać. Panienska potwierdziła, że jesteś zaproszony - powiedział mężczyzna i po chwili brama się otworzyła. - Dwieście metrów od domu, po prawej stronie podjazdu, jest parking dla gości - dodał. - Tam zostaw samochód.

Podjazd był dość stromy i dopiero po kilku zakrętach Robin zobaczył dom. Wydał mu się jeszcze bardziej imponujący niż rezydencja PickFair. W jego uszach wciąż dźwięczały słowa: „Panienska potwierdziła...”.

Panienska. Tak się musi do niej zwracać służba, przemknęło mu przez głowę. Co ja tu robię? - pomyślał, a ponieważ nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie, spróbował je odgonić. Udało mu się, ale tylko na chwilę, bo kiedy zobaczył kilkadziesiąt samochodów stojących na parkingu - BMW, jaguary, lexusy i inne drogie wozy - pytanie powróciło.

Zaparkował pikapa, który był tak stary i obdrapany, że trudno byłoby się domyślić, jaki miał kolor, kiedy był nowy, między czarnym porsche a czerwonym fordem mustangiem. Zanim wysiadł z samochodu, zwilżył chusteczkę resztką wody z butelki i spróbował usunąć z dłoni smar. Plamy ze smaru mają jednak to do siebie, że bez mydła nie da się ich usunąć. Wziął więc z siedzenia prezent dla Stelli i ruszył w stronę świateł, muzyki, śmiechów i innych odgłosów zabawy.

Kiedy był mniej więcej w połowie drogi, z kolorowego tłumu wyłoniła się postać idąca w jego kierunku. Nie rozpoznał jej od razu; wydawało mu się, że to Stella, ale nie miał pewności.

Nie przypominała okularnicy z włosami przytrzymywanymi opaską, w plisowanej spódnicy w zielono - granatową kratę, białej bluzce i szarym blezerze z emblematem szkoły. Widział ją dotąd tylko w takim stroju, a teraz, z rozpuszczonymi włosami, w butach na wysokim obcasie i czarnej sukience z wąskimi ramiączkami w niczym nie przypominała tamtej skromnie wyglądającej dziewczyny. Tamta była miła, ta piękna, tak piękna, że zaparło mu dech w piersiach.

Panienska, znów przemknęło mu przez głowę i zaraz potem pomyślał, że to może nie Stella, tylko bardzo do niej podobna starsza siostra. Dopiero jej uśmiech upewnił go, że to ona.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, zastanawiając się, czy tłumaczyć, dlaczego zjawił się tak późno.

Tylko co ją mogło obchodzić, że Toby spóźnił się do myjni, Sean, zagubiony z powodu kłopotów w rodzinie, zaczął się zadawać z typami z ulicy, on cudem uniknął podbitego oka albo czegoś jeszcze gorszego, a w pikapie, w którym nie działa ręczny hamulec, trzeba było wymienić filtr paliwa? Paniencie Yates takie przyziemne sprawy biednych ludzi muszą być z gruntu obce, pomyślał z goryczą. Nagle zdał sobie sprawę, że w jego umyśle zakiełkowało coś bliskiego niechęci do tej dziewczyny. Tak jakby była winna temu, że ma bogatych rodziców, mieszka w okazałej posiadłości i jej życie jest bez troskie.

- A ja cię przepraszam za kłopoty przy bramie. - Znów się uśmiechnęła, tak jak zawsze, delikatnie i trochę nieśmiało.

Teraz poczuł się naprawdę głupio i skarcił się w duchu za to, o czym myślał przed chwilą.

- Moja wina - przyznał, kiedy ruszyli w stronę hałaśliwego tłumu gości. - Przypominałaś mi, żebym wziął zaproszenie.

- Każdemu może się zdarzyć zapomnieć - uspokoiła go. - A co do spóźnienia, to

zabawa dopiero się rozkręca, więc niewiele straciłeś.

Zobaczył u niej coś, czego dotąd nie dostrzegł. Mrużyła oczy w sposób, który dodawał jej uroku.

- Dlaczego mi się tak przyglądasz? - spytała. Wiedział, że dziewczyny czasami zadają takie pytania, spodziewając się komplementów, ale w jej tonie nie było cienia kokieterii. Mimo to powiedział:

- Bo ślicznie wyglądasz. - Nie mógł odpowiedzieć nic innego, bo to była prawda.

- Dzięki. Ale muszę ci się do czegoś przyznać. Chciałabym ci powiedzieć coś równie miłego, ale to nie byłoby szczere.

Robin roześmiał się.

- Bo wyglądam okropnie, tak?

- Nie, na pewno wyglądasz dobrze, jak zawsze, tylko ja dzisiaj nie za wiele widzę. - Jakby na potwierdzenie tych słów, potknęła się na stopniu, którego nie zauważyła, i Robin musiał ją złapać za ramię, żeby nie upadła. - Sam widzisz - rzuciła i roześmiała się.

- Nie masz okularów - powiedział, jakby właśnie odkrył Amerykę.

- Dopiero teraz to zauważyłeś?

- Nie, już wcześniej, ale myślałem, że masz szkła kontaktowe.

Stella pokręciła głową.

- Nie mogę nosić kontaktów, bo mam uczulenie.

- Dlatego tak ładnie mrużysz dzisiaj oczy.

- Dlatego, że mam uczulenie?

- Nie. Dlatego, że nie włożyłaś okularów.

Stella znów nie zauważyła stopnia i się potknęła. To dziwne - dopóki nie pojawił się Robin, nie zdarzyło jej się to ani razu. Czyżby powodem tego potykania się wcale nie były z kłopoty ze wzrokiem, a zupełnie coś innego? Może to jego obecność tak na nią wpływała?

Przez ostatnie półtorej godziny wmawiała sobie, że jeśli Robin nie przyjedzie, nic takiego się nie stanie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo na niego czekała, i że gdyby się nie zjawił, impreza byłaby pewnie udana dla wszystkich poza nią.

Zanim wmieszali się w tłum gości, Robin uświadomił sobie, że nie złożył Stelli życzeń i nie wręczył jej prezentu.

Kiedy zaczął je nieporadnie składać, wpadła mu w słowo:

- Wiesz co? Życzenia złożysz mi w poniedziałek w szkole, bo tak naprawdę wtedy wypadają moje urodziny - zaproponowała. - Zgoda?

- Zgoda.

Bardzo mu się to spodobało, ponieważ w poniedziałek, kiedy nie mieli żadnych wspólnych lekcji, będzie miał okazję znaleźć ją na korytarzu i nawiązać rozmowę. Stella była jedyną osobą, z którą rozmawiał pierwszego dnia w nowej szkole. To ona zagadnęła go po lekcji angielskiego i od tego czasu chwycił się wszelkich możliwych pretekstów, żeby zamienić z nią choćby kilka zdań. Nie dlatego, że była pierwszą dziewczyną, która się do niego odezwała, ale dlatego, że była najsympatyczniejsza. I najciekawsza.

Na początku był ostrożny. Starał się zachowywać tak, żeby nie wydać jej się zbyt nachalnym, ale w pewnym momencie zauważył, że ona również zatrzymuje się przy nim podczas przerwy, przysiadła się w stołówce albo macha ręką, kiedy widzi go na drugim końcu korytarza. To dodało mu odwagi. Poczł, że nie musi już wymyślać pretekstów, żeby zamienić z nią kilka słów, zwłaszcza po tym, jak koleżanka, z którą siedziała na angielskim, została przesunięta do mniej zaawansowanej grupy i Stella zaproponowała, żeby zajął jej miejsce.

- Ale prezent możesz dać mi już teraz - dodała, widząc, że Robin nie jest pewny, czy ma go wręczyć.

Był tak stremowany, że musiała wyjąć mu pakunek z ręki. Przez chwilę przyglądała się prezentowi, ale go nie rozpakowała.

W jego rodzinie, wśród przyjaciół i znajomych, prezenty rozpakowywano natychmiast po ich przyjęciu, ale on należał do innego świata. W świecie panny Yates panowały odmienne zwyczaje.

Był zły na siebie, że znów nazwał ją tak w myślach. Zwłaszcza że tak naprawdę przyjął z ulgą to, że nie odpakowała prezentu, który na pewno by ją rozczarował.

Może właśnie dlatego tak postąpiła - nie chciała go wprawiać w zakłopotanie. Wiedziała, że chłopak, który zaczął chodzić do ich szkoły tylko dzięki temu, że kilku nadzianych facetów postanowiło się lepiej poczuć, fundując stypendium jakiemuś zdolnemu biedakowi, nie mógł jej kupić prezentu z gatunku tych, do jakich była przyzwyczajona.

Nagle przyszło mu do głowy, że może ona, tak jak tamci nadziani faceci, również chciała się poczuć lepiej i dlatego wtedy, trzy miesiące temu, zaczęła z nim rozmawiać, że to dlatego machała do niego na szkolnym korytarzu, dlatego siadała z nim w stołówce i dlatego zaprosiła go na dzisiejsze przyjęcie. Może był tylko narzędziem, dzięki któremu panna Yates mogła udowodnić swój brak uprzedzeń?

- Bardzo dziękuję - powiedziała.

- Za co?

Co za głupie pytanie, pomyślał. Sam sobie na nie przed chwilą odpowiedziałem.

Dziękuję mi za to, że może się poczuć taka wielkoduszna.

- Za prezent - odparła cicho.

- Przecież nawet nie wiesz, co to jest. - Głos Robina zabrzmiał tak szorstko, że zranił nawet jego ucho, ucho chłopaka, który wychował się we wschodnim Los Angeles, wśród typów pokroju Cesara Torresa.

Stella zmrzyła oczy i przyglądała mu się. W jej twarzy, postawie, zachowaniu nie było nawet cienia pozy. Biła z niej uczciwość.

- Przepraszam - powiedział łagodniejszym tonem, wściekły na siebie, że z powodu własnej frustracji doszukuje się w tej dobrej, przemiłej dziewczynie czegoś, czego w niej nie ma. - Nigdy nie byłem na takim przyjęciu i jestem trochę onieśmielony - przyznał szczerze. - Okropnie onieśmielony - poprawił się po chwili.

Stella przestała mrużyć oczy, uśmiechnęła się i mimo że jej buty miały ośmiocentymetrowe obcasy, musiała wspiąć się na palcach, żeby go pocałować.

Robin nie miał pojęcia, co go tak obezwładniło - jej ciepłe, lekko wilgotne usta, które poczuł na policzku, czy zapach.

Większość dziewcząt, które znał ze szkoły i z sąsiedztwa, używała - albo nadużywała - perfum. Słodkich, duszących, zbyt intensywnych. Stella pachniała zupełnie inaczej - delikatnie, świeżo i tak nienatrętnie, że nie mógł określić, czy to woda toaletowa, czy naturalny zapach jej ciała.

Cokolwiek to było, sprawiło, że zapomniał o wszystkich przykrych sprawach, o których myślał jeszcze przed chwilą.

Nie miał pojęcia, czy usta Stelli dotykały jego policzka tylko przez ułamek sekundy, czy przez kilka sekund, ale czuł je jeszcze długo. Nawet wtedy, gdy wzięła go za rękę i zaprowadziła przez taras do stołu, na którym piętrzył się stos prezentów - większe i mniejsze pudła, małe pakunki, a wszystkie tak efektowne, że Robin był gotowy się założyć, że każde z tych opakowań kosztowało o wiele więcej niż jego prezent.

Patrząc na swój, żałował, że zdał się na ekspedientkę, która zawinęła go w szarosrebrzysty papier z nadrukiem logo księgarni. Mógł zadać sobie trochę trudu, kupić bardziej ozdobny i wstążkę albo poprosić o pomoc mamę, która potrafiła wyczarowywać cuda z niczego.

- Wiem, że prezent od ciebie sprawi mi większą przyjemność niż wszystkie inne - powiedziała Stella, jakby czytała w jego myślach i chciała go pocieszyć.

Odziedziczona po irlandzkich przodkach duma nie pozwalała mu godzić się z czyjąkolwiek litością - nawet jeśli tym kimś była dziewczyna, która podobała mu się tak

bardzo, że od trzech miesięcy zasypiał, przywołując w pamięci jej obraz. Nie pozwoli, żeby się nad nim litowała.

Chciał to powiedzieć, ale kiedy spojrzał jej w oczy, zobaczył tylko życzliwość i sympatię - nic, co mogłoby mieć cokolwiek wspólnego z litością.

- Skąd to wiesz? - spytał, odpowiadając uśmiechem na jej uśmiech.

- Nie wiem skąd. Po prostu wiem. Uwierzył jej.

Naprawdę jej uwierzył.

Żałował tylko, że nie wydał piętnastu dolarów więcej i nie kupił tej samej książki w twardej oprawie. Toby, którego starsze rodzeństwo zarabiało już na własne utrzymanie, a jego ojciec nie uległ wypadkowi, nie potrzebował pieniędzy tak bardzo jak on i z pewnością zgodziłby się, żeby Robin w przyszłą sobotę albo niedzielę pracował również na jego zmianie. Szesnaście godzin w myjni to nie to samo co osiem, ale jakoś by sobie poradził i wystarczyłoby na twardą oprawę, a nawet na dołożenie się do deski, o której marzył Sean.

- Naprawdę cieszę się, że przyjechałeś - powiedziała Stella, wrywając go z tych prozaicznych myśli.

I znów uwierzył, że mówi to szczerze.

- Chcesz potańczyć czy wolisz najpierw coś zjeść? - spytała. - A może masz ochotę wskoczyć do wody?

Robin dopiero teraz zwrócił uwagę na basen, w którym pluskało się kilkanaście osób.

- A co ty byś chciała?

- Ja? - Znów przymrużyła oczy w ten zniewalający go sposób. - Chyba bym zatańczyła. - Sama nie wierzyła, że mogła to powiedzieć. Przecież nie umiała tańczyć.

- Ja też.

Od śniadania nie miał nic w ustach. Kiedy wrócił z Seanem do domu, mama chciała mu odgrzać obiad. Nie miał czasu na jedzenie. Zdażył tylko Wziąć prysznic i się przebrać. Gdy wychodził, biegła za nim z kanapką. Potem, w drodze na Benedict Canyon Drive, żałował, że jej nie wziął. Ale teraz, mogąc wybierać między jedzeniem a tańczeniem, zdecydował się na to drugie. Może gdyby w tym momencie z głośników rozmieszczonych wokół tarasu płynęła inna muzyka, jego decyzja wyglądałaby inaczej. Ale usłyszał *Always the Sun* Richarda Duranda i zobaczył, że wszyscy tańczący zaczynają się łączyć w pary.

Byłby skończonym idiotą, gdyby nie wziął jej za rękę i nie zaprowadził do tej części tarasu, na której rozłożono wykładzinę imitującą parkiet.

Na drodze do niej był jeden stopień, na którym, oczywiście, się potknęła.

A potem zaczęli tańczyć.

Matka zapisała ją na kilka kursów tańca. Stella żadnego nie skończyła. Mama, bezgranicznie wierząca w jej możliwości, przekonana, że wina leży po stronie nauczycieli, a nie córki, ściągnęła do domu trzech trenerów na indywidualne lekcje. Jeden z nich był na tyle uczciwy, że dał za wygraną po pierwszej, drugi po czwartej, a trzeci, Rudolf Ballentino, pewnie uczyłby Stellę tańca do późnej starości - raczej jego starości niż jej, bo nie był już najmłodszy. Rudolfa poleciła ojcu Stelli zaprzyjaźniona z nim leciwa gwiazda filmowa. Brał pięćset dolarów za godzinę, ale ojciec uważał, że za sukces trzeba zapłacić, i bez wahania sięgał do kieszeni, kiedy Rudolf Ballentino twierdził, że Stella ma talent, tylko trzeba czasu, żeby go z niej wydobyć. Rudolf miał jednak pecha, bo mama pewnego dnia postanowiła przyjrzeć się postępom córki i tego samego dnia zwolniła go, a potem staczała boje z mężem, który uważał, że dla świętego spokoju trzeba zapłacić dwa tysiące dolarów za cztery ostatnie lekcje.

Mama zagroziła mu rozwodem, jeśli da choćby centa temu hochsztaplerowi, po czym przytuliła słuchającą tego Stellę i powiedziała z cudowną czułością:

- Kochanie, nie pogoniłam go dlatego, że moim zdaniem się mylił, mówiąc, że masz talent. Bo masz. Ja to wiem. I wiem, że znajdzie się ktoś, kto z ciebie ten talent wydobydzie. - Zdała sobie sprawę, że powtarza słowa Rudolfa Ballentino, oszusta z nadętym pseudonimem, i otrząsnęła się z obrzydzeniem. - Cholera, to nieprawda.

Ojciec zachnął się, bo źle znosił brzydkie słowa odbijające się echem od szacownych ścian domu, w którym w ciągu ostatniego stulecia mieszkało tylu sławnych ludzi. Nie zdążył się jednak odezwać, bo mama ciągnęła:

- Skarbie, nie wiem, czy masz talent do tańca, ale powiem ci coś w tajemnicy. Nie obchodzi mnie, czy go masz. Marzę tylko o tym, żeby ktoś kiedyś obudził w tobie ochotę do tańczenia.

Właśnie spełniło się jej marzenie. Stella żałowała tylko, że mama jej teraz nie widzi. Chociaż wcale nie była o tym przekonana. Wydawało jej się, że kilka razy zobaczyła cień w wychodzącym na taras oknie sypialni rodziców. Kiedy unosiła głowę i patrzyła w tamtą stronę, natychmiast zniknął.

To były pierwsze urodziny Stelli, w których rodzice nie brali udziału, i mogła na nie zaprosić wyłącznie swoich znajomych, a nie jak w latach poprzednich rodzinę i przyjaciół mamy i taty. Mama dopilnowała przygotowań do przyjęcia, ale kiedy tylko pojawili się pierwsi goście, ona i tata, tak jak to było wcześniej ustalone, zniknęli w swoich pokojach na pierwszym piętrze.

Nie schodzili z parkietu od półtorej godziny. Kiedy na chwilę ucichła muzyka, podszedł do nich Tom Blanchett.

- Nie uważasz, że zaniedbujesz innych gości? - zwrócił się do Stelli.

- No właśnie - wtrącił się stojący w pobliżu Kyle Rickman. - Może z raz zatańczyłabyś ze mną?

- Ja byłem pierwszy - zaprotestował Tom.

Stella wolałaby dalej tańczyć z Robinem, ale może rzeczywiście jako gospodyni miała pewne obowiązki i powinna dać się zaprosić do tańca również innym chłopakom, zwłaszcza Tomowi i Kyle'owi, którzy nie tylko chodzili z nią do szkoły, ale byli synami przyjaciół jej rodziców i znała ich od dziecka.

- To co? Tańczymy? - spytał Tom, gdy z głośników popłynęły dźwięki salsy.

Salsy z Robinem jeszcze nie tańczyła. Jaka szkoda, pomyślała i popatrzyła na niego nieco bezradnie, z nadzieją, że powie albo zrobi coś, co pozwoli jej przy nim pozostać. Ale on uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- No cóż - powiedział. - Nic na to nie poradzę. Jesteś gospodynią i chyba rzeczywiście nie mam prawa tak cię okupować.

Kiedy Tom wziął ją za rękę i chciał pociągnąć na środek parkietu, niezdecydowana, przez chwilę się opierała.

- Pójdę coś zjeść, a potem może uda nam się jeszcze zatańczyć - dodał Robin, jakby chciał jej w ten sposób ułatwić decyzję.

Salsa z Tomem w ogóle jej nie wychodziła. Stella była zbyt sztywna, raz po raz wypadła z rytmu, a w ruchach nóg, tułowia i kończyn brakowało koordynacji. Może byłoby lepiej, gdyby co chwila nie zerkalała w stronę bufetu, do którego podszedł Robin.

Większość gości była teraz albo na parkiecie, albo pluskała się w basenie. Przy bufecie, oprócz Robina, stały tylko dwie osoby. Dziewczynę rozpoznała po czerwonej sukience od Dolce & Gabany, którą tego wieczoru miała na sobie Ellen Wayne - niegrzesząca delikatnością intrygantka. Stella nie zdziwiłaby się, gdyby usłyszał od niej coś, co sprawiłoby mu przykrość, Ellen znajdowała bowiem szczególne upodobanie w dokuczaniu ludziom.

- Wiesz może, kto tam stoi przy bufecie? - zapytała Stella swojego partnera, któremu chwilę wcześniej nadepnęła na stopę.

- Tańczysz ze mną czy śledzisz swojego ukochanego? - spytał Tom trochę urażonym tonem.

- Oj, przepraszam, znów nadepnęłam ci na nogę.

- Auć! - Był w tenisówkach, więc rzeczywiście mogło go to zabolec. - W porządku, ale bardzo proszę, nie rób tego wię... Auć.

- Domyślam się, że już ze mną więcej nie zatańczysz - powiedziała Stella.

- Już wiem! - zawołał Tom. - Wiem, dlaczego depczesz mi po stopach. I pewnie będziesz to robić specjalnie wszystkim chłopakom, żeby już cię więcej nie poprosili, bo wtedy będziesz mogła tańczyć tylko z ukochanym.

- Przestań z tym „ukochanym”. My się wszyscy znamy, a on jest nowy, więc zależy mi na tym, żeby nie czuł się obco. Takie to dziwne?

- Nie - odparł Tom, ale na chwilę przestał tańczyć, odsunął ją lekko od siebie i przyjrzał się tak, jakby nie do końca jej uwierzył. - I właśnie dlatego, żeby nie czuł się obco, nie włożyłaś dzisiaj okularów, tak? - dodał zaczepnie.

- Nie włożyłam, bo nie muszę ich zawsze nosić.

- Stella, nie ściemniaj. Znam cię od ponad dziesięciu lat i jeszcze nigdy nie widziałem cię bez okularów. A poza tym, skoro nie musisz ich nosić, to po co mnie pytasz, kto stoi przy bufecie?

- Dobrze, masz rację - przyznała. - Powiesz mi wreszcie, kto tam jest?

- Robin.

- To wiem.

- Ellen Wayne, czego mu nie zazdrościsz.

- To również wiem i także mu tego nie zazdrościsz.

- I Ivor Cleese Junior.

- Cholera! - zakląła Stella.

- Auć!

- Przepraszam.

- Nic takiego się nie stało - rzucił ironicznym tonem, wznosząc oczy do nieba. - Ale masz rację, nasz kolega, o którego się tak troszczysz, nie mógł gorzej trafić.

Ivor Cleese Junior był najbardziej zarozumiałym i aroganckim chłopakiem, jakiego znała. Zaprosiła go tylko dlatego, że nalegał na to tata, który prowadził jakieś interesy z jego ojcem. Zresztą z podobnego powodu na przyjęciu znalazła się Ellen. O to z kolei prosiła Stellę mama, która zasiadała z panią Wayne w zarządzie jednej z fundacji charytatywnych.

Tom chyba odetchnął z ulgą, kiedy salsa się skończyła, i wcale nie protestował, gdy zjawił się przy nich Kyle, żeby zatańczyć ze Stellą.

- Dobrze, że ma normalne buty - powiedział, zerkając na stopy przyjaciela, po czym

puścił Stelli oko i odszedł.

- O co mu właściwie chodziło z tymi but...? Auć!

- Już wiesz, o co.

Kyle prawdopodobnie nie był bardzo zawiedziony, kiedy kilka minut później podeszła Conchita i przerwała im taniec.

- Pan Yates mówi: panienka przyjdź do niego - szepnęła, nachylając się do ucha Stelli.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że tata nie przysyłałby jej z byle powodu, i poczuła niepokój. Przepraszyła Kyle'a i ruszyła za Conchitą. Po paru krokach spojrzała w stronę bufetu i zobaczyła Robina, stojącego w pewnym oddaleniu od Ellen i Ivora. Z tej odległości nie widziała jego twarzy, tylko rozmazaną plamę, ale wydało jej się, że w postawie chłopaka dostrzega oznaki przygnębienia.

Przystanęła i zastanawiała się, czy do niego nie podejść.

- Powiedz ojcu, że za chwilę przyjdę! - zwróciła się do Conchity.

- Pan Yates mówił, to ważne - oznajmiła pokojówka i widząc, że dziewczyna się waha, dodała: - Bardzo ważne.

- No, dobrze - powiedziała Stella i poszła za Conchitą.

Zanim weszła do domu, jeszcze raz się obejrzała. Z odległości trzydziestu metrów nie tylko twarz Robina była zamazana, ale i sylwetka.

Wysokie obcasy rytmicznie stukały na marmurowej posadzce, gdy Stella przemierzała wielki hol. Kiedy wchodziła na schody, w jej głowie zrodziła się myśl, że może ta ważna sprawa ma coś wspólnego z Robinem. Wiedziała, że większość ojców trzęsie się nad swoimi córkami jedynaczkami, a jednak uważała, że tata stanowczo przesadza z nadopiekuńczością i chęcią kontrolowania jej życia - również tego, z kim się przyjaźni i spotyka.

Większość chłopaków zaproszonych na przyjęcie miał już okazję poznać, ale Robina nigdy dotąd nie widział. Czyżby myliła się co do cienia za oknem sypialni? Może to wcale nie była mama, tylko tata, który zaniepokoił się, że córka tak długo tańczy z chłopakiem, o którym nic nie wiedział? W dodatku mógł jakoś dojść do tego, że to ten sam chłopak, który przyjechał bez zaproszenia.

- Pan Yates w gabinecie - powiedziała Conchita, zatrzymując się na pierwszym piętrze przy drugich drzwiach na lewo od schodów.

Stella zapukała i nie czekając, aż tata się odezwie, weszła do środka.

Ojciec siedział za biurkiem i przeglądał jakieś papiery. Na widok córki uniósł wzrok i uśmiechnął się.

- No i jak się bawisz, kochanie? - zapytał.

- Świetnie - odparła, wiedząc, że nie ściągnął jej tu po to, by się dowiedzieć, czy przyjęcie jest udane.

- To dobrze... Bardzo się cieszę. Ale...

- Tak? - Stella wołała, żeby tata darował sobie już ten wstęp i przeszedł do sedna sprawy.

- Jest... hm... pewien problem.

- Domyślam się. Inaczej nie przysłałbyś przecież po mnie Conchity.

- Chodzi o jednego z chłopców.

A więc jednak, pomyślała i poczuła, jak wzbiera się w niej złość. Co w tym było złego, że tańczyła z Robinem? Był sympatyczny, inteligentny, przystojny... To najwspanialszy chłopak, jakiego w życiu poznała, i była gotowa to wykrzyknąć. Czekala tylko, aż tata sformułuje jakiś konkretny zarzut pod jego adresem.

- O Ivora Cleese'a Juniora. Twarz Stelli rozpromieniła się.

- To dosyć nieprzyjemna sprawa - powiedział ojciec, zaskoczony reakcją córki.

- Tato, wszystko, co ma związek z Juniorem, jest nieprzyjemne. Dlatego nie chciałam go zapraszać.

Ojciec ze zrozumieniem skinął głową.

- No tak. Nie powinienem był cię do tego nakłaniać. Ale stało się i teraz coś z tym trzeba zrobić.

- Co się właściwie stało?

- Kiedy planowaliśmy przyjęcie, rozmawialiśmy o alkoholu. Ustaliliśmy, że nie będzie żadnego.

- Już wszystko rozumiem! - zawołała Stella. - Ivor przyniósł ze sobą alkohol, tak?

Ojciec pokiwał głową.

- Carlos poinformował mnie, że widział, jak młody Cleese pociąga z butelki, i podobno jest już nieźle wstawiony.

- Tato, przepraszam cię, ale ja nie mam na to wpływu. Wszystkim wyraźnie mówiłam, żeby nie przynosili alkoholu. Za większość chłopaków mogę ręczyć, ale za niego akurat nie.

Ivor Cleese Junior był znany ze swoich wyskoków. Jakies dwa miesiące temu złapano go w szkole z butelką whisky. Właściwie powinien zostać wyrzucony, ale że Cleese'owie od kilku pokoleń byli poważnymi darczyńcami na rzecz szkolnej fundacji, sprawę zatuszowano i nawet nie udzielono mu nagany.

- Kochanie, ja nie mam do ciebie pretensji - zastrzegł się ojciec. - Chodzi mi o to, żebyś pomogła mi to załatwić.

- Co tu załatwiać?! Trzeba zadzwonić do jego rodziców i powiedzieć, żeby odebrali swojego zalanego synka.

- No, tak - przyznał. - W ten sposób byłoby najprościej. - Skrzywił się i mówił dalej: - Tylko widzisz, mnie z pewnych powodów zależy na tym, żeby załatwić to jak najdelikatniej i uniknąć skandalu.

Stella, która wciąż pamiętała niesmak, jaki poczuła, gdy zatuszowano szkolną aferę wokół Wora, nie chciała brać teraz udziału w czymś podobnym.

Nie miała pojęcia o powiązaniach biznesowych taty z ojcem Ivora, musiał mieć jednak jakieś powody, by cackać się z tym aroganckim smarkaczem, bo inaczej nie patrzyłby na nią tak błagalnie.

- No dobrze - powiedziała. - Co mam zrobić? - Nie była pewna, co bardziej wpłynęło na jej decyzję: chęć pomocy tacie czy pragnienie, żeby jak najszybciej pozbyć się kłopotu w postaci Ivora i wrócić do Robina.

- Chciałbym, żebyś go tu tylko przyprowadziła. Resztą zajmę się sam. Ktoś zawiezie go do domu i odprowadzi jego samochód. Carlos próbował go tu ściągnąć, ale szczeniak się stawiał.

- Nie wiem, czy mi się to uda, ale spróbuję.

- Kochanie, przepraszam, że ci tym zawracam głowę...

Stella postanowiła załatwić sprawę jak najszybciej.

- Nie ma za co. W sumie bardzo mi ulży, kiedy ten idiota stąd zniknie - powiedziała i wyszła z pokoju.

Nieprzyzwyczajona do wysokich obcasów, zdjęła buty i zeszła po schodach, a potem przebiegła przez hol boso. Włożyła je dopiero na tarasie i ruszyła w stronę bufetu, przy którym stało kilka osób. Nie było jednak wśród nich ani Robina, ani Wora. Zbliżyła się do parkietu i przez chwilę przyglądała się tańczącym. Brak okularów dawał jej się we znaki. Kiedy zorientowała się, że i tu ich nie ma, pomachała do Zacha i Guliki, która właśnie uczyła go tańczyć do muzyki ze *Slutndoga, milionera z ulicy*, i ruszyła nad basen.

- Nie widziałeś Ivora? - zaczęła spotkanego po drodze Toma.

- Myślałem, że spytasz raczej o Robina? - zdziwił się.

Jego poszukam później, postanowiła, ale najpierw pozbędę się Ivora.

- Bo Robina nie widziałem, a Ivor jest tam, po drugiej stronie basenu - powiedział, wyciągając rękę.

Leżał rozwalony na leżaku. Kiedy zobaczył, że Stella się do niego zbliża, uniósł rękę z butelką.

Zagotowała się z wściekłości, ale zdając sobie sprawę, że awanturując się, nic nie załatwi, nakazała sobie spokój.

- Napijesz się ze mną?! - zawołał, z trudem podnosząc się do pozycji siedzącej.

- Jasne! - rzuciła sztucznie beztroskim głosem, zastanawiając się, czym właściwie zamierzał się z nią dzielić, skoro butelka była już prawie pusta.

- To siadaj - zaproponował, klepiąc wolną ręką sąsiedni leżak. - A tym się nie martw - dodał, potrząsając resztką alkoholu. - Mam drugą - rzekł z dumą, sięgnął pod leżak i wyciągnął pełną butelkę.

- Ale może napijemy się gdzie indziej - zasugerowała Stella sprytnie. - Na przykład w moim pokoju? - Sama nie mogła uwierzyć, że coś takiego przeszło jej przez gardło.

Na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiech. Przechylił butelkę i opróżnił ją do końca. Stella wzdrygnęła się z obrzydzenia, ale Ivor był zbyt pijany, żeby to zauważyć.

- Hej, mała, naprawdę zapraszasz mnie do swojego pokoju?

- Jasne.

- Niezła jesteś. Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał.

Rzucił pustą butelkę za siebie. Na szczęście potoczyła się po trawie, nie rozbijając się. Wziął pełną, wstał i ruszył obok Stelli chwiejnym krokiem. W pewnym momencie, kiedy weszli na taras, butelka wysunęła mu się z dłoni i roztrzaskała na marmurowej posadzce.

Stella rozejrzała się. Na ile mogła się zorientować bez okularów, nikt tego nie zauważył. Zobaczyła tylko Conchitę, która na migi dała jej znać, że zajmie się potłuczonym szkłem.

- Muszę iść do samochodu, mam tam jeszcze butelkę - powiedział Ivor bełkotliwie.

- Nie trzeba. Ja też mam w pokoju.

- Jaką?

Nie знаła się na gatunkach whisky. Żałowała, że nie spojrzała na etykietkę tej, którą się upił, i tej rozlanej na tarasie. Kiedy się do niej zbliżył, zorientowała się, jakiej używa wody toaletowej - Cred Bois du Portugal. Rozpoznała ją, bo pryskał się nią czasami ojciec, tylko że na nim pachniała ładnie, a na Worze, pomieszana z odorem alkoholu, wstrętnie. Za nic na świecie nie była jednak w stanie po zapachu rozpoznać gatunku whisky. Rzuciła więc pierwszą nazwę, jaka przyszła jej do głowy:

- Glenfiddich.

- Może być. - Znów uśmiechnął się w ten obleśny sposób, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. - Naprawdę mnie zaskakujesz, mała. - Co mówiąc, objął ją i przyciągnął do siebie.

Próbowała zaprotestować, ale mimo swojego żalosego stanu miał na tyle siły, że nie udało jej się uwolnić od jego ramienia.

Zacisnęła zęby i odwracając głowę, żeby nie czuć jego oddechu, doszła jakoś w objęciach Ivora do głównych drzwi wejściowych. Na ostatnim stopniu potknęła się. Prowadził ślepy pijanego, pomyślała i postanowiła, że kiedy już się od niego uwolni, pójdzie po okulary.

Na szczęście nie musiała iść z nim na górę do gabinetu ojca, bo tata i Carlos czekali już w holu.

Odetchnęła z ulgą, kiedy obaj wzięli protestującego głośno i szamoczącego się chłopaka pod rękę i poszli z nim na tyły domu, do wejścia dla służby.

Odprowadziła ich wzrokiem, a potem poszła do swojego pokoju po okulary. Najpierw jednak weszła do łazienki, bo kiedy zobaczyła swoje odbicie w mijanym po drodze lustrze, zorientowała się, że włosy ma w nieładzie, a twarz po zmaganiach z Ivozem błyszcząca od potu. Uczesała się, poprawiła makijaż i lekko spryskała się wodą toaletową. Kiedy włożyła okulary, które nosiła na co dzień, stwierdziła, że zupełnie nie pasują do sukienki, fryzury i całej reszty. Wyjęła z szuflady kilka par innych i każde przymierzała kilkakrotnie, aż wreszcie zdecydowała się na te, które kupiła przed miesiącem i których nigdy dotąd nie wkładała - z dużymi prostokątnymi oprawkami z tytanu.

Kiedy wychodząc z pokoju, spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest pięć po jedenastej, zrobiło jej się smutno. Impreza miała trwać do północy, zostało więc niewiele czasu. Niecała godziną na to, żeby wrócić do Robina i spędzić z nim resztę wieczoru. Bo właśnie to zamierzała zrobić.

Tylko że Robina nie było ani przy bufecie, ani przy basenie, ani na parkiecie. Przemknęła jej myśl, że może nie czuł się najlepiej w towarzystwie innych gości i spaceruje po ogrodzie, ale tam również go nie znalazła. Ponownie sprawdziła wszystkie możliwe miejsca, w których mógł być, i dopiero kiedy po raz trzeci wmieszała się w tańczących, zauważył ją Zach i odciągnął na bok, w miejsce gdzie było nieco ciszej.

- Robin prosił, żeby ci powiedziec od niego „dobranoc” i podziękować za przyjęcie.
- Już pojechał? - Nie była w stanie ukryć rozczarowania. - Mówił ci dlaczego?
- Nie, ale pewnie musiał.

Impreza przeciągnęła się do pierwszej. Wszyscy, żegnając się ze Stellą, zapewniali ją, że przyjęcie było fantastyczne, ale dla niej skończyło się dużo wcześniej, w chwili gdy Zach przekazał jej wiadomość od Robina.

Idąc do bufetu, Robin obejrzał się i odszukał wzrokiem Stellę. Widząc, jak tańczy z Tomem salsę, poczuł ukłucie zazdrości, które wydało mu się całkiem niezrozumiałe. Tańczyła przecież z kolegą, którego - sądząc po ich zażyłości - dobrze znała. Kiedy się nad tym głębiej zastanowił, odkrył, co było powodem jego zazdrości. Właśnie ta zażyłość, łącząca ją z Tomem, Kyle'em czy innymi chłopcami obecnymi na przyjęciu, a także z dziewczynami, wynikająca z tego, że należą do jednego świata, w którym on był tylko turystą. Właśnie tak się teraz poczuł, jak turysta w kraju, gdzie wszystko jest obce. Im bardziej oddalał się od parkietu i Stelli, która tam została, tym to poczucie stawało się silniejsze.

Obejrzał się ponownie. Tym razem miał wrażenie, że Stella patrzy w jego stronę, odwrócił więc szybko wzrok. Nie chciał, by pomyślała, że ją śledzi.

- Cześć Robin! - zawołał Zach O'Sullivan.

Niósł dwa duże pucharki z czymś, co nie przypominało Robinowi niczego, co dotąd jadł w życiu, ale wyglądało bardzo smakowicie.

- Cześć - powiedział, żałując, że Zach, jeden z nielicznych chłopaków, z którymi udało mu się nawiązać kontakt w nowej szkole, odchodzi od bufetu.

Przez chwilę śledził go wzrokiem, a kiedy zobaczył, że Zach stawia pucharki na jednym z rozstawionych wokół basenu stolików i siada przy Gulice, postanowił, że weźmie jedzenie i do nich dołączy. Jej rodziców też nie było stać na drogą szkołę, dostała się do niej w podobny sposób jak on, więc być może również czuła się na przyjęciu wyobcowana, może nawet bardziej niż on, ponieważ dopiero przed dwoma laty wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych z Pakistanu. Dwoje turystów w obcym świecie to nie to samo co samotny turysta, zwłaszcza że Zach sprawiał wrażenie dobrego przewodnika.

Kiedy Robin podszedł do bufetu, stała przy nim tylko jedna dziewczyna. Wiedział, że ma na imię Ellen, ale nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska. Jeszcze nigdy z nią nie rozmawiał. Widząc, że mu się przygląda, uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu grymasem.

Na długim stole, pokrytym białym, sięgającym Posadzki obrusem, stały większe i mniejsze półmiski, wielopoziomowe patery, miski, miseczki i puchary, na których ułożono jedzenie w sposób tak efektowny, że Robin obawiał się, że nie znajdzie w sobie dość odwagi, by zburzyć to dzieło sztuki. Zwłaszcza że niektóre potrawy wyglądały tak, jakby ich jeszcze nikt nie próbował. Wydało mu się to dziwne, bo kiedy zjawił się na przyjęciu i przechodził ze Stellą obok bufetu, było tu dosyć tłoczno. Potem, kiedy z nią tańczył, również widział

dookoła grupki gości. Chyba nie przychodzili tu po to, żeby popatrzeć na te ułożone w barwne kompozycje potrawy? Więc jak to było możliwe? Po chwili zrozumiał. Kobieta o meksykańskiej urodzie, ubrana w czarną sukienkę i biały fartuszek, podjechała z kuchennym wózkiem i wzięła z bufetu półmisek, na którym było jeszcze jedzenie - Robin nie miał pojęcia, co to było, ale wyglądało bardzo smakowicie: cienkie, pomarańczowo - różowe plasterki czegoś, uformowane w różyczki, ozdobione fantazyjnie wyciętymi cząstkami cytryny. Na jego miejsce postawiła drugi - pełny - z taką samą potrawą.

Żałował, że się nie pośpieszył i nie nabrał sobie na talerz porcji z tamtego półmiska. Wiedział, że tego nie napocznie. Gdy kobieta wymieniała kolejne półmiski i uzupełniała patery, Robin odsunął się nieco, żeby jej nie przeszkadzać.

Ellen natomiast zupełnie się nie przejmowała jej obecnością. Przy całym bogactwie jedzenia upatrzyła sobie akurat coś na paterze stojącej tuż przy półmisku, który tamta zamierzała właśnie zabrać ze stołu. Sięgnęła po to, obcesowo zmuszając kobietę, żeby się odsunęła.

- Wstrętne - prychnęła, skosztowawszy przekąski.

Robin nigdy nie słyszał, żeby ktoś, będąc gościem, tak ostentacyjnie krytykował potrawy, i to przy gospodyni. Dopiero po chwili dotarło do niego, że Ellen wcale nie traktuje jej jak gospodyni. Ściśle mówiąc, traktowała ją jak powietrze, bo po chwili wybrała sobie kolejną przekąskę, tym razem z wielkiego półmiska, który kobieta zdjęła z wózka. Ellen nie chciało się czekać, aż postawi go na stół, i długo wybrzydzała z wyborem porcji przystawki - choć wszystkie wyglądały identycznie - zmuszając kobietę, by stała z ciężkim półmiskiem, czekając, aż rozpuszczona smarkula się zdecyduje i nałoży sobie na talerz coś, co mogło być pasztetem, ale Robin nie był tego pewien.

- Fuj, okropne! - rzuciła Ellen, skosztowawszy kawałek. - Co to w ogóle jest?

- Mus ze smardzów - odparła kobieta.

Na jej kamiennej twarzy nie dostrzegł śladu oburzenia czy dezaprobaty i wtedy przyszło mu na myśl, że arogancja dziewczyny wcale jej nie porusza, ponieważ jest do tego przyzwyczajona. Może w tym pełnym blichtru świecie ludzie zachowują się tak jak Ellen?

Salsa skończyła się i z głośników popłynęły dźwięki romantycznej piosenki. Poczuł żal, że niej jest na parkiecie ze Stellą, i spojrzał w tamtą stronę. Tańczyła teraz z Kyle'em. Przyglądając się jej, doszedł do wniosku, że uogólnienie, na które pozwolił sobie w myślach przed chwilą, było niesprawiedliwe. Stella nigdy nie zachowałaby się tak jak ta dziewczyna ze znudzoną twarzą, której dzisiaj po raz pierwszy uważnie się przyjrzał.

Wysoka, smukła brunetka o smagłej, idealnie gładkiej cerze, bujnych włosach, w

czzerwonej sukience podkreślającej idealne proporcje ciała, pewnie uchodziła za piękną, ale Robin nie dostrzegł jej urody. Widział tylko odpychający grymas ust i znudzenie w oczach.

- Ten łośoś też beznadziejny - powiedziała,) skosztowawszy różowopomarańczowej przystawki w kształcie różyczki. Minę zrobiła przy tym taką, jakby za chwilę miała wypluć to, co wzięła do ust.

Szczerze mówiąc, wcale by go to nie zdziwiło. Cieszył się tylko, że kobieta w czarnej sukience i fartuszkowi wzięła wózek i popychając go przed sobą, odeszła. Bo przecież nawet jeśli tego nie okazała, musiało być jej przykro.

Nie uprzedzał się do ludzi, ale wiedział już, że Ellen Wayne - właśnie przypomniał sobie jej nazwisko - nigdy nie polubi. Wzbudziła w nim taką niechęć, że zapragnął znaleźć się jak najdalej od niej. Mimo że z głodu zaczęło mu burczeć w brzuchu, postanowił odejść od bufetu. Na szczęście ona w tym samym momencie ruszyła w stronę basenu.

Zadowolony, że został sam i że nikt nie będzie świadkiem jego nieporadności - jakby na przekór Ellen Wayne - nałożył sobie na talerz porcję musu ze smardzów i od razu trochę skosztował. Smak był dziwny, zupełnie mu nieznany, ale ciekawy. Zachęcony tym, wziął przystawkę w kształcie różyczki, którą wcześniej skrytykowała Ellen. Tak jak się domyślał, był to łośoś, o wiele delikatniejszy niż te, które zdarzało mu się jeść do tej pory.

Wzrok Robina padł na wielką misę z pokruszonym lodem, w którym tkwiła druga - mniejsza - wypełniona małutkimi, lśniącymi czarnymi kuleczkami. Domyślił się, że to kawior, choć nigdy dotąd nie miał go w ustach. Wziął pełną łyżkę, ale przystawki, które zjadł, tak pobudziły mu apetyt, że postanowił wziąć jeszcze jedną. Właśnie to robił, kiedy usłyszał za plecami stukot obcasów i śmiech.

Odwrócił się i zobaczył Ellen. Nie była sama, przyszła w towarzystwie Wora Cleese'a Juniora. Jego również w ciągu trzech miesięcy w nowej szkole nie miał okazji poznać, ale zdążył usłyszeć o nim to i owo, i były to informacje, które raczej nie skłaniałyby go do nawiązywania bliższej znajomości z tym chłopakiem.

Mimo to teraz ucieszył się z jego obecności. Tych dwoje zajmie się sobą, a on spokojnie zje i odejdzie.

Mylił się jednak, sądząc, że tak będzie, Ellen bowiem spojrzała na jego talerz i parsknęła śmiechem.

- To jest kawior - rzuciła.

Robin spieszył się, ale postanowił zrobić wszystko, żeby tego nie okazać.

- Dzięki ci za to, że mnie oświeciłaś, bo myślałem, że to kaszanka. Trochę mnie wprawdzie zdziwiło, że taka czarna, ale pomyślałem, że to przez oświetlenie.

- Rozumiem. I pewnie dlatego nałożyłeś sobie pół talerza, tak? - powiedziała i spojrzała na Ivora, jakby chciała się przekonać, czy jej dowcip mu się spodobał.

Ivor zarechotał.

Robin chciał odejść, ale zdał sobie sprawę, że będzie to ucieczka, a nie zamierzał dać im tej satysfakcji. Nie da się onieśmielić takim ludziom jak Ellen Wayne i Ivor Cleese Junior.

- Zgadłaś - powiedział. - Właśnie dlatego tyle sobie nałożyłem. Bo tak się składa, że bardzo lubię kaszanke.

- Więc może nałóż sobie więcej - zaproponowała sarkastycznym tonem. - Nie wiadomo, czy jeszcze będziesz miał okazję jeść kawior.

- Rozważę to. - Udał, że jej złośliwość ani trochę go nie obeszła, i nabrał na widelec trochę kawioru. Zanim go jednak zdążył wziąć do ust, część czarnych kuleczek przeleciała między zębami widelca i spadła na posadzkę.

- Ale na wypadek, gdyby ci się taka okazja kiedyś trafiła, dobrze by było, żebyś wiedział, że kawior je się łyżeczką, i to złotą - dodała i znów spojrzała na Ivora.

Robin widział małe złote łyżeczki wetknięte w lód wokół miski z kawiosem, ale sądził, że są tam tylko dla ozdoby.

Był coraz bardziej speszony i złościł się, że tacy ludzie jak tych dwoje potrafią wyprowadzić go z równowagi. Nie powinno go obchodzić, co o nim myślą. A jednak obchodziło go i jedyne, co mógł zrobić, to starać się ten fakt ukryć.

- Kawior może tak, ale nie kaszanke - powiedział, ponownie nabierając go na widelec. Tym razem jednak trzymał talerz w ten sposób, żeby kuleczki spadły na niego, a nie na posadzkę.

- A słyszałeś kawał o kawiorze? - zapytał Ivor, rechocząc.

Robinowi wydawało się, że poczuł alkohol w jego oddechu, stał jednak na tyle daleko, że nie mógł być tego pewny.

- Nie - odpowiedział. - Ale na pewno jest bardzo śmieszny.

- Opowiedz - rzuciła Ellen, choć Ivor prawdopodobnie zrobiłby to i bez jej prośby.

- No więc przychodzi prostak do eleganckiej restauracji i widzi w karcie kawior. „Co to jest?” - pyta kelnera, a ten mu odpowiada, że to są jajka ryby. A prostak na to: „To poproszę dwa sadzone”.

Ellen roześmiała się, a Robin uznał, że już dłużej nie wytrzyma.

- A znasz kawał o nadętym palancie? - zwrócił się do Ivora.

- Nie. Opowiedz.

- Kiedy indziej - odparł Robin, odchodząc.

Stolik, przy którym kilka minut wcześniej siedział Zach z Guliką, był teraz pusty. Z głośników płynęły dźwięki ostrej muzyki. Istniała szansa, że Stella nie tańczy teraz z nikim w parze, postanowił więc poszukać jej na parkiecie.

Nie znalazłszy jej tam, wrócił nad basen. Po drugiej stronie zobaczył Zacha i Gulikę. Obszedł basen, ale kiedy znalazł się kilkanaście metrów od nich, zauważył, że Zach obejmuje dziewczynę i nachyla się tak, jakby chciał ją pocałować. Byli tak zajęci sobą, że go nie widzieli.

Postanowił im nie przeszkadzać. Wycofał się powoli i nie mając pojęcia, co ze sobą zrobić, poszedł do ogrodu. Wałęsał się bez celu kwadrans, może dłużej, po czym uznał, że Stella, gdziekolwiek zniknęła, musiała już wrócić do gości.

Zobaczył ją, gdy przechodził obok ozdobnie przyciętych krzewów. Nie była sama.

Po raz drugi tego wieczoru doświadczył zazdrości, ale tym razem czuł, że ma powód. Szła w objęciach jakiegoś chłopaka. Choć z drugiej strony, dlaczego tak był tym poruszony?

Owszem, od samego początku okazała się wobec niego miła i przyjazna, a dziś, dopóki przy nim była, czuł się przez nią traktowany szczególnie, tak jakby zależało jej na nim bardziej niż na innych gościach.

Ale pewnie oczekiwał zbyt wiele. To, że bardzo mu się podobała, że myślał o niej częściej niż o jakiegokolwiek innej dziewczynie, że pragnął, by była jak najbliżej, i marzył o tym, żeby ją kiedyś przytulić i pocałować, nie oznaczało jeszcze, że Stella żywi wobec niego podobne uczucia.

Próbował to sobie racjonalnie wytłumaczyć, ale ani trochę nie osłabiało to bólu, który czuł, widząc, jak ona idzie z tym chłopakiem w stronę domu.

A kiedy oświetlił ich snop silnego światła i Robin go rozpoznał, zazdrość ustąpiła miejsca wściekłości.

Dlaczego akurat jemu pozwalała się tak obejmować? Gdyby chodziło o Zacha O'Sullivana, Toma Blanchetta albo Kyle'a Rickmana, może byłoby mu łatwiej. Z każdym innym chłopakiem byłoby łatwiej.

Ale Ivor Cleese Junior...?

Robin tak bardzo chciał pozostać niezauważony, że zignorował to, że ostre kolce krzewów wbijają mu się w plecy. Kiedy Stella i Ivor weszli do domu, nadal pozostał w ukryciu. Zerknął tylko na zegarek. Była za piętnaście jedenasta.

Kwadrans później wciąż stał w tym samym miejscu i nie spuszczał wzroku z wejścia do domu. Ani Stella, ani Ivor się w nim nie pojawili.

Postał jeszcze pięć minut, aż w końcu uświadomił sobie, że to, co robi, jest

upokarzające. Przypomniawszy sobie uwagi Ellen Wayne, dowcip Ivora i uznał, że dość już tego.

Nawet jeśli była jakaś droga prowadząca z ogrodu na parking dla gości, to jej nie znał, musiał więc wrócić na taras. Kiedy mijał rozbawione dziewczęta i chłopców, wymyślił sobie, że nikt nie zwraca uwagi na to, że on, Robin, turysta w tym obcym kraju, wyjeżdża. Zresztą dlaczego miałby się tym przejąć? Jeśli już, to pewnie odetchnęliby z ulgą. Przecież nikt nie lubi turystów.

Chyba że przewodnicy. Dobrzy przewodnicy, tacy jak Zach O'Sullivan.

Zach zobaczył Robina idącego w stronę parkingu.

- Robin! - zawołał.

Robin, mając nadzieję, że chłopak nie będzie przerywał sobie zabawy, przyśpieszył kroku, ale dobry przewodnik pobiegł za nim i zawołał ponownie.

Teraz, nie mogąc dłużej udawać, że go nie słyszy, Robin zatrzymał się i odwrócił.

- Jedziesz już do domu? - spytał Zach.

- Tak. Szukałem Stelli, żeby się pożegnać i powiedzieć jej dobranoc, ale gdzieś zniknęła.

- No właśnie. Też przed chwilą zastanawialiśmy się z Guliką, gdzie się podziała.

Robin przemilczał to, że widział ją wchodzącą do domu w objęciach Wora. Mówienie o tym byłoby dla niego zbyt bolesne.

- Nie możesz jeszcze trochę zostać? - spytał Zach. - Fajna impreza.

Robin zmusił się do uśmiechu.

- Świetna, ale muszę już jechać. Baw się dobrze.

- Szkoda.

- Pożegnaj ode mnie Stellę i podziękuj jej w moim imieniu za zaproszenie.

- Jasne. I uważaj na zakręty na Benedict Canyon Drive. Cześć, do poniedziałku.

- Będę uważał - obiecał Robin.

Ale nie dotrzymał obietnicy. Nie był w stanie skoncentrować się na prowadzeniu samochodu. Jego myśli błądziły zupełnie gdzie indziej. Nie mógł się pozbyć obrazu Ivora obejmującego Stellę.

Może gdyby był bardziej skupiony na tym, co się dzieje, dostrzegłby światła jadącego za nim samochodu. Może usłyszałby wcześniej klakson i nie musiałby w ostatniej chwili zjeżdżać ze środka jezdni na swój pas. Może zauważyłby, że wymijającym go samochodem było czarne porsche, to, przy którym zaparkował na parkingu dla gości w rezydencji Yatesów. Może nawet przypomniałby sobie, że należy do Ivora Cleese'a Juniora. A jeśli wyteńczyłby wzrok, to może zauważyłby, że prowadzi ktoś inny, a Ivor siedzi obok. - I może wtedy

powiązałby jakoś fakty i udałoby mu się tej nocy zasnąć, nie mając przed oczami obrazu, który widział naprawdę - Stelli w objęciach Ivora - i innych, jeszcze gorszych, jakie podsuwała mu wyobraźnia.

W poniedziałek przed pierwszą lekcją Robin zobaczył Stellę na końcu korytarza. W szkolnym stroju, z niebieską przepaską we włosach i w okularach o drucianych oprawkach, była taka, jaką wydawała mu się przed przyjęciem - skromna, trochę nieśmiała. Miła dziewczyna, jedyna osoba, przy której nie czuł się obco w nowej szkole.

Jej widok sprawił, że zapomniał, jak zakończył się sobotni wieczór, i o tym, że przez całą niedzielę obiecywał sobie trzymać się od niej z daleka. Przypomniał sobie za to, że miał jej dzisiaj złożyć życzenia urodzinowe. Ruszył w jej stronę, zastanawiając się, jak to zrobić. Stella nie była sama; rozmawiała z Zachem i choć Robin nie miał nic przeciwko niemu, wołał, żeby go przy tym nie było. Najpierw zwolnił więc kroku, a potem zatrzymał się przy tablicy z ogłoszeniami, udając, że je czyta. Gdy po chwili zerknął w ich stronę, zobaczył, że Zach odchodzi.

Stella została sama. Przystanęła, szukając czegoś w torbie. Wciąż nie widziała Robina. Wahał się chwilę, zanim zdecydował się do niej podejść, a kiedy wreszcie zrobił kilka niepewnych kroków, ktoś, komu bardzo się śpieszyło, odepchnął go tak, że wpadł na grupkę stojących dziewczyn.

- Uważaj, jak chodzisz! - oburzyła się jedna z nich.

Dopiero kiedy się odwróciła, zorientował się, że to Ellen Wayne.

- Przepraszam, nie chciałem. Ja... - zaczął, ale przypominając sobie jej sobotnie złośliwe uwagi, postanowił ją zignorować.

Kątem oka zobaczył chłopaka, który przed chwilą tak bezceremonialnie go odepchnął. Ivor Cleese Junior.

Po chwili Robin domyślił się, do czego - a raczej do kogo - Ivor tak się śpieszy.

Do Stelli... A może raczej do panny Yates.

Robin przyglądał jej się przez kilka sekund. Odwrócił się i poszedł w przeciwnym kierunku dopiero wtedy, gdy napotkał jej wzrok. Stała daleko, dwadzieścia pięć, może trzydzieści metrów od niego, ale mógłby przysiąc, że widział, jak jej twarz się skrzywiła.

Gdy przechodził obok grupy dziewcząt, Ellen Wayne obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

Nie przejął się tym. Zdawał sobie sprawę, że większość dziewczyn i chłopców w tej szkole traktuje go jak intruza, jest jednak na tyle uprzejma, żeby nie okazywać tego tak jawnie jak Ellen.

A Stella? Łudził się, że z nią jest inaczej, że między nią a nim istnieje jakaś więź.

Przyjaźń... A może coś więcej?

Jakim był naiwnym idiotą, żywiąc podobne nadzieje!

W nocy, po powrocie z Benedict Canyon Drive, i wczoraj, żałował, że wybrał się na to przyjęcie. Teraz uznał, że jednak warto było tam pojechać. Mimo upokorzeń, mimo obrazu Stelli w objęciach Ivora, którego nie mógł wymazać z pamięci, było warto. Dzięki temu przestanie żyć złudzeniami.

Nie będzie więcej myślał o pannie Yates. Skupi się na tym, co ważne. Zdobędzie stypendium na studia na Uniwersytecie Stanforda, a może nawet na Harvardzie. Skończy uczelnię z wyróżnieniem, zostanie adwokatem i może kiedyś nie będzie tylko turystą w świecie Worów Cleese'ów Juniorów.

Tylko czy tego chciał? Czy naprawdę chciał do niego należeć? Nie był pewien. Pragnął jednak, żeby to był jego wybór. Jeśli nie będzie należał do tego świata, to dlatego, że sam tak zadecyduje, a nie dlatego, że ludzie pokroju Ivora czy Ellen Wayne go odrzuca, potraktują jak intruza, jak niechcianego turystę.

Zanim to się jednak stanie, będzie musiał jeszcze przez półtora roku chodzić do szkoły, spotykać się ze Stellą, może nawet zamienić z nią kilka słów.

Oddalając się od niej i walcząc z chęcią, by się odwrócić i na nią popatrzeć, postanowił, że będzie z nią rozmawiał i zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Nie dam po sobie poznać, jak bardzo czuję się zraniony, postanowił, choć wiedział, że nie będzie to łatwe.

- Zdążyłbyś przejechać - powiedziała Stella do Marcosa, który zahamował, kiedy światła na skrzyżowaniu zmieniły się z zielonych na żółte.

- Może i bym zdążył - przyznał. - Ale po co się tak śpieszyć? Mamy czas - dodał, wskazując zegar na tablicy rozdzielczej.

Jednym z jego obowiązków było odwożenie jej do szkoły. Kiedy o wpół do dziewiątej wychodziła przed dom, zawsze już na nią czekał i jeszcze się nie zdarzyło, żeby spóźniła się do szkoły. Dziś wyszła kilka minut wcześniej i wszystko wskazywało na to, że dojadą na miejsce co najmniej kwadrans przed rozpoczęciem lekcji. Marcos miał rację - rzeczywiście nie było powodu do pośpiechu.

Mimo to, kiedy na następnym skrzyżowaniu znów musieli się zatrzymać, Stella zaczęła narzekać na brak synchronizacji świateł.

- A co panienka taka niespokojna? - spytał kierowca, przyglądając się jej uważnie. - Nie odrobiła panienka lekcji? Albo jakaś testacja? - Marcos mówił po angielsku znacznie lepiej niż jego żona Conchita, ale czasami zdarzało mu się przekręcać słowa albo tworzyć swoje własne.

Stella, która bardzo lubiła te jego powiedzenia, uśmiechnęła się.

- Nie, nie mam dzisiaj żadnego testu - odparła. - A lekcje odrobiłam. I wcale nie jestem niespokojna.

- Hm...

Chyba jej nie uwierzył, nie zadawał jednak więcej pytań, ale kiedy kilka sekund przed tym, jak mijali kolejną przecznicę, zmieniły się światła, nie zahamował. Zerknął na dziewczynę i przejechał na żółtym.

Gdy chwilę później popatrzyła na prędkościomierz, ze zdziwieniem stwierdziła, że Marcos, który zawsze przestrzegał ograniczeń prędkości - przynajmniej wtedy, kiedy ona była pasażerką - teraz przekroczył je o ponad dziesięć kilometrów.

Jeździła z nim do szkoły i z powrotem od pierwszej klasy podstawówki. Woził ją również do koleżanek, na imprezy, zakupy, na plażę i w inne miejsca. Prawdopodobnie gdyby policzyła wszystkie godziny, które z nim spędziła, okazałoby się, że było ich więcej niż tych spędzonych z tatą. Nic więc dziwnego, że potrafił wyczuwać nastroje Stelli lepiej niż jej rodzony ojciec.

- No to jesteśmy - obwieścił, zatrzymując się przed szkołą. - Ma panienka dwadzieścia minut do rozpoczęcia lekcji. Na cokolwiek je tam panienka potrzebuje.

Chciała zaprzeczyć, wyjaśnić, że wcale nie są jej potrzebne, ale uznała, że byłaby to niewdzięczność z jej strony. Przecież bardzo się starał, żeby przywieźć ją tu jak najszybciej.

- Dziękuję, Marcos - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Miłego dnia.

- Panience też. Niech się panience wszystko uda. Cokolwiek... - Przerwał, bo choć znał ją od dziecka i łączył ich pewien rodzaj przyjaźni, to Stella w końcu była córką jego pracodawcy i tak, jak nigdy nie pozwolił sobie na to, by mówić do niej po imieniu - choć kilkakrotnie go o to prosiła - tak wewnętrzna dyscyplina nakazywała mu dyskrecję.

- Dzięki - rzuciła, jeszcze raz uśmiechnęła się i wyskoczyła z samochodu.

Kiedy weszła do szkoły, korytarz świecił jeszcze pustkami. W szatni zastała dwie dziewczyny z młodszych klas. Nie śpieszyła się z wyjmowaniem rzeczy z szafki, która znajdowała się w tym samym rzędzie co szafka Robina.

Jego niespodziewane zniknięcie z imprezy nie tylko ją zasmuciło, ale przez resztę przyjęcia i cały wczorajszy dzień zaprzętało jej myśli. Chciała wierzyć w to, co przekazał jej Zach, z drugiej strony jednak była zdziwiona, że Robin wcześniej nie powiedział, że będzie musiał wyjść szybciej. Przychodziły jej do głowy różne myśli. Albo zapomniał o tym wspomnieć, albo nie planował, że wyjdzie z imprezy przed jej zakończeniem. Jeśli nie planował, to musiał być jakiś powód, że tak szybko zniknął. Może dostał wiadomość z domu, a może po prostu nie miał ochoty dłużej zostać... A jeśli nie miał ochoty, to...

Tu przychodziły Stelli do głowy różne pomysły. Może się nudził? Ktoś z takim intelektem jak on mógł być znudzony powierzchownymi konwersacjami typowymi dla imprez. Gdy przypomniwała sobie ich rozmowy, musiała przyznać, że niezbyt się starała, żeby były ciekawe i oryginalne. Tak dalece oddała się radości tańczenia z Robinem, że nie pomyślała, jak banalne mogą mu się wydać jej komentarze czy uwagi. Poza tym nie przyszło jej do głowy, że niekoniecznie musiał podzielać jej przyjemność tańczenia z nią. A jeśli sobie tylko ubzdurała, że przy nim przełamała barierę przeszkadzającą jej w tańcu? Może to tylko jej wyobraźnia, ale tak naprawdę, tańcząc z Robinem, była równie niezgrabna jak na kursach tańca, na lekcjach Rudolfa Ballentino czy w trakcie salsy z Tomem. Nie pamiętała wprawdzie, żeby choć raz nadepnęła na stopę Robina, tak jak kilkakrotnie zdarzyło jej się z Tomem, ale to jeszcze nie oznaczało, że Robinowi dobrze się z nią tańczyło. Może odetchnął z ulgą, kiedy przyszła po nią Conchita, i obawiając się, że po powrocie Stelli znów będzie musiał z nią tańczyć, wolał wcześniej wyjść z przyjęcia?

Przypomniawszy sobie każdą spędzoną z nim minutę, wystraszyła się, że mógł się poczuć przez nią osaczony. Od chwili, kiedy pojawił się na imprezie, do momentu, gdy rozstali się na parkiecie, nawet na sekundę nie zostawiła go samego.

Czy tak postępuje gospodyni przyjęcia? Zapomina o reszcie gości i całą uwagę poświęca tylko jednemu?

Stella uświadomiła sobie, że po tym, jak Robin wreszcie przyjechał na imprezę, kiedy już przestała mieć nadzieję, że w ogóle się pojawi, zupełnie straciła głowę i zaczęła się zachowywać tak, jakby nie liczyło się dla niej nic oprócz niego.

Bo taka była prawda. Nic poza nim nie było ważne. Nie chciała jednak tego okazywać. Tymczasem wszyscy musieli to zauważyć. Nie przejmowała się, jak na to patrzą inni, ale obchodziło ją, co pomyśli Robin. A, niestety, przez całą niedzielę zamiast cieszyć się udaną imprezą, wyrzucała sobie, że swoją zaborczością mogła zrazić gościa, na którym najbardziej jej zależało.

Miała nadzieję, że myliła się w swoich ocenach, i właśnie dlatego chciała jak najszybciej zobaczyć się z Robinem, wierząc, że wystarczy jedno spojrzenie, kilka zamienionych słów, by rozwiązać jej obawy.

Pierwszą znajomą osobą, która pojawiła się w szatni, była Evelyn McCarthy. Jako jedyna z zaproszonych nie była na przyjęciu. Nie musiała nawet przeproszać, że nie przyjechała; tłumaczyła ją ręka w gipsie. Evelyn opowiedziała o swoim wypadku podczas gry w polo, po czym koniecznie chciała się dowiedzieć, jak się udało przyjęcie.

Stella nie miała nic przeciwko temu - im dłużej pozostawała w szatni, tym większa była szansa, że zobaczy Robina jeszcze przed pierwszą lekcją - zaczęła więc zdawać koleżance relację z sobotniego wieczoru.

Niestety, po kilku minutach zrobiło się tłoczno i Evelyn zaproponowała, żeby pójść gdzie indziej. Stella zgodziła się; po pierwsze, dlatego że nie potrafiła wymyślić pretekstu, żeby zostać, a po drugie, zobaczyła Wora. Widok tego chłopaka nigdy nie budził w niej pozytywnych emocji, a jego sobotnie wystąpienie z pewnością tego nie zmieniło.

Wyszła z Evelyn z szatni, ale nie udało im się spokojnie porozmawiać, ponieważ co chwilę wpadały na ludzi, którzy byli na przyjęciu i zatrzymywali się, żeby powiedzieć Stelli, że było fantastyczne.

- Tak mi żal - wyznała Evelyn.

- Czego? - spytała bezmyślnie Stella, która wszystkie te pochwały puszczała mimo uszu i błędząc wzrokiem po coraz bardziej zatłoczonym korytarzu, szukała Robina.

- Jak to czego? Tego, że mnie tam nie było. - Evelyn nagle złapała się za głowę. - O Jezu! Całkiem zapomniałam! Muszę coś załatwić w sekretariacie. Opowiesz mi resztę w czasie lanczu.

- Leć! - rzuciła Stella i wcale nie zmartwiła się tym, że koleżanka zniknęła.

Dzięki temu mogła zostać w miejscu, z którego widziała każdego, kto wychodził z szatni. Do rozpoczęcia lekcji zostały jeszcze tylko cztery minuty, a Robin wciąż się nie pojawiał.

- Cześć, czekasz na kogo?! - zawołał Zach, który zobaczył ją z daleka.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, otworzyła torbę i udawała, że czegoś w niej szuka. Zach nie minął jej jednak; odłączył się od grupy kolegów i podszedł do Stelli.

- Nie idziesz na łacinę? - zapytał, przypominając jej w ten sposób, że mają razem pierwszą lekcję.

- O, cześć! - rzuciła z udawanym zdziwieniem, jakby dopiero teraz go zauważyła. - Idę, oczywiście, że idę - odparła. - Muszę tylko coś znaleźć - dodała, znów zaglądając do torby.

- Wiem, że się powtarzam, ale impreza była znakomita - powiedział Zach, który najwyraźniej nie miał ochoty zostawić jej samej. - I fajnie, że zaprosiłaś Gulikę.

Stella miała w pamięci, że spędził z nią prawie cały wieczór, i gdyby nie fakt, że była teraz pochłonięta własnymi problemami, na pewno by z nim o tym porozmawiała.

- To świetna dziewczyna - dodał trochę nieśmiało, ale nie usłyszała, ponieważ w oddali zobaczyła Robina.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- Że Gulika jest fajną dziewczyną.

- Tak - rzuciła automatycznie, znów zerkając tam, gdzie przed chwilą mignął jej Robin.

- Pójdę już do klasy - mruknął Zach, widząc, że nie uda mu się wciągnąć koleżanki w rozmowę.

- Na razie. - Pomachała mu ręką i zaczęła udawać, że przeszukuje torbę, ale zaraz po tym, jak Zach się oddalił, znów odnalazła wzrokiem Robina.

Zdziwiła się, widząc, że zatrzymał się przy grupie dziewcząt, wśród których była Ellen Wayne.

Nigdy dotąd nie słyszała, żeby zamienili ze sobą choćby kilka słów i, szczerze mówiąc, nie potrafiła sobie wyobrazić, o czym mógł rozmawiać z taką snobką jak Ellen.

Tak ją to zastanowiło, że nie zobaczyła Wora. Kiedy go dostrzegła, był już na tyle blisko, że nie mogła ani uciec, ani w żaden inny sposób zapobiec spotkaniu się z nim. Skrzywiła się, widząc, że Ivor wyraźnie zmierza do niej. W tym samym momencie napotkała wzrok Robina, który nie rozmawiał już z Ellen. Chciała się do niego uśmiechnąć, pomachać mu ręką, ale zanim zdążyła to zrobić, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Przypuszczała, że Ivor będzie jej robił wyrzuty o to, że na imprezie zwabiła go do domu, ale albo był na tyle pijany, albo głupi, że nie zorientował się, że zrobiła to celowo.

- Cześć, mała! - rzucił. Był trzeźwy, ale jego uśmiech i głos wydały się Stelli równie obleśne jak w sobotę.

- Cześć - rzuciła. - Tylko, proszę cię, nie mów do mnie „mała”.

Nie zauważyła, jak zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, bo kiedy to robił, ona rozglądała się po korytarzu.

- W sobotę nam się nie udało, ale możemy to nadrobić, co?

- Co nadrobić? - Domyślając się, co mu chodzi po głowie, cofnęła się o krok, nie kryjąc obrzydzenia.

- No, zaprosisz mnie do siebie i obalimy flaszkę, a potem zobaczymy... Co ty na to, mała?

Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu i spojrzała na niego z błyskiem wściekłości w oczach.

- Posłuchaj mnie uważnie - zaczęła, przeciągając słowa, jakby w ten sposób mogły zyskać większą moc. - Po pierwsze, nie jestem dla ciebie żadną małą. Po drugie, nie zaproszę cię ani do swojego pokoju, ani na kolejną imprezę, ani nigdzie indziej. Po trzecie, nie obalimy razem ani flaszki, ani niczego innego. Ściślej mówiąc, nic razem nie zrobimy. - Popatrzyła na koniec korytarza, gdzie jeszcze przed chwilą ponad głowami innych mignęła jej jasna czupryna Robina. Już go tam nie było. Winą za to, że nie udało jej się z nim spotkać, obarczyła oczywiście Ivora. Spojrzała mu w oczy tak, jakby chciała go zabić wzrokiem, i dokończyła podniesionym głosem: - A po czwarte i najważniejsze: daj mi święty spokój!

- Ostra jesteś. Lubię takie laski. Stella pokręciła głową.

- Do ciebie naprawdę nic nie dotarło. Nie obchodzi mnie, jakie lubisz laski. Nie obchodzi mnie nic, co ma jakikolwiek związek z tobą. - Chwilę mierzyła go wzrokiem, po czym dodała, wypowiadając osobno każdą sylabę: - Od - czep - się - o - de - mnie!

Nikt za nim w szkole nie przepadał, ale też nikt prawdopodobnie nie odważył się powiedzieć mu tego wprost. Dlatego trwało to chwilę, zanim uświadomił sobie, że Stella mówi poważnie. Rozdziawił usta, wybałuszył oczy i jego twarz, która i bez tego nie sprawiała wrażenia inteligentnej, nabrała tak tępego wyrazu, że Stella, nie mając ochoty dłużej na nią patrzeć, bez słowa odeszła.

Zaledwie Ivor zniknął z zasięgu jej wzroku, przestała o nim myśleć. Złość rozplynęła się, a zastąpił ją smutek, ale to nie Ivor był jego przyczyną. Przeczucia jej nie myliły. Zdała sobie sprawę, że sobotnia impreza, zamiast umocnić przyjaźń rodzącą się między nią a

Robinem - na co w skrytości ducha liczyła - wszystko popsuła. Chłopak, który dotąd zawsze chętnie z nią rozmawiał, zaczął jej unikać. I sama była sobie winna, ponieważ nie zapanowała nad emocjami i zraziła go swoją zaborczością.

Mimo dzwonka nie śpieszyła się do sali, w której miała łącinę. Idąc wolno korytarzem, zastanawiała się, czy można to wszystko jeszcze jakoś odkręcić. Robin najwyraźniej nie miał ochoty na to, żeby ich znajomość wykroczyła poza ramy szkolnej przyjaźni, a więc powinna zrobić wszystko, by nie miał poczucia, że zależy jej na czymś więcej. A zależało, i to bardzo. Musiała to jednak ukrywać. Inaczej straci szansę na jakiegokolwiek kontakty z Robinem.

Skoro nie mogła dostać tego, o czym nieśmiało marzyła, zadowolili się tym, co może mieć.

Minał miesiąc od urodzin Stelli. Na pierwszy rzut oka w jej stosunkach z Robinem nic się nie zmieniło. Na pozór było tak jak przed imprezą. Nadal siedzieli na angielskim w jednej ławce, wciąż zdarzało im się jeść razem lancz i rozmawiać w czasie przerw. Nikt nie domyśliłby się, że jest między nimi pewien dystans i wyczuwalne dla obojga napięcie, za sprawą którego czasem milkli, a cisza, jaka wtedy zapadała, wprawiała ich w takie zakłopotanie, że uciekali przed sobą wzrokiem albo zaczynali mówić coś bez ładu i składu, żeby ją jak najszybciej przerwać.

Właśnie takie milczenie zapadło któregoś dnia podczas lanczu. Oboje skwapliwie zajęli się jedzeniem, ale cisza była tak przemożna, że niemal było ją słyszeć w panującym w stołówce hałasie.

Oboje odetchnęli z ulgą, kiedy przysiadł się do nich Zach, a po chwili przyłączyła się jeszcze Gulika.

Od imprezy byli nierozłączni i Stella, choć bardzo sympatyzowała z nimi jako parą, czasami nie mogła zapanować nad uczuciem niebezpiecznie zbliżonym do zazdrości. Dla nich jej urodzinowe przyjęcie było okazją do zbliżenia się, podczas gdy ona i Robin po tamtym sobotnim wieczorze oddalili się od siebie.

- Słyszeliście już o Ivorze? - spytał Zach mniej więcej w połowie lanczu.

Stella niczego nie słyszała, ale domyśliła się, że chodzi o jakieś nowe ekscesy Juniora, więc, niespecjalnie tym zainteresowana, wzruszyła tylko ramionami. Robin poza nieznacznym skrzywieniem ust nie okazał żadnej reakcji.

- Wywalili go ze szkoły - obwieścił Zach. Stella była przekonana, że nic, co wiąże się z Ivorem, nie może jej poruszyć, ale ta wiadomość ją zdumiała i ucieszyła.

- Hura! Wreszcie! - zawołała, i to tak głośno, że osoby siedzące przy najbliższych stołach obracały głowy i spoglądały na nią ze zdziwieniem.

Najbardziej jednak zdziwiony był Robin, który przypatrywał się jej tak uważnie, że nie umknęło to jej uwagi.

Może pod wpływem jego spojrzenia, a może dlatego, że logika podpowiadała jej, że wiadomość o Worze musi być plotką, niemającą nic wspólnego z prawdą, spoważniała i pokręciła głową.

- Nie, to niemożliwe - rzuciła. - Dawno już powinni wywalić tego debila, ale wszyscy wiemy, że jest nietykalny.

- Był - sprostował Zach. - Już nie jest.

Stella długo z niedowierzaniem kręciła głową i dopiero kiedy Zach, prosząc ich wcześniej o dyskrecję, ściszym głosem opowiedział całą historię, uśmiechnęła się i zaklaskała w dłonie.

Większość uczniów wiedziała, że Ivor przynosi do szkoły narkotyki, tylko jakoś nauczyciele woleli tego nie widzieć ani o tym nie słyszeć. Ale jedna z anglistek, pracująca w ich szkole dopiero pół roku, albo nie zdążyła się dowiedzieć, że Junior jest nietykalny, albo była na tyle uczciwa, że nie chciała przymykać oka - w tym wypadku raczej nosa - na wybryki chłopaka. I kiedy Ivor, stojąc kilka metrów od niej, beczelnie zapalił skręta, zrobiła to, co powinna. Poszła z tym do dyrektora, a kiedy ten próbował zatuszować sprawę, nauczycielka, ryzykując utratą pracy, zwróciła się do rady szkoły, której jednym z członków był ojciec Zacha. On i kilku innych rodziców poparli ją i ich głosy okazały się silniejsze niż pieniądze, którymi Cleese'owie od pokoleń wspomagali szkołę.

- Jest jednak na świecie sprawiedliwość - powiedziała Stella, gdy Zach skończył mówić.

- Pamiętajcie tylko, żeby nie roznosić tego dalej - poprosił Zach, wstając od stołu. - Ojciec opowiedział mi o tym w tajemnicy.

- Jasne - rzuciła Stella, a kiedy on i Gulika odeszli, uśmiechnęła się i jeszcze raz pokręciła głową.

- Zaskoczyłaś mnie - powiedział Robin, patrząc jej w oczy.

- Czym?

- Tym, że tak cię ucieszyło to, że wylali Ivora.

- Co w tym dziwnego? Mogę się założyć, że wszyscy się cieszą.

- Być może, ale po tobie akurat bym się tego nie spodziewał.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Wydawało mi się, że go lubisz - odparł Robin cicho.

- Ja?! - Niemal podskoczyła na krześle. - Ja miałabym lubić Ivora?! Skąd ten pomysł?

- Nie wiem... - Zamilkł i zmarszczył czoło, jakby się zastanawiał, czy odpowiedzieć.

Dopiero po dłuższej chwili zdecydował się: - Na imprezie u ciebie odniosłem wrażenie, że...

- Że co? - ponagliła go Stella.

- No... że jesteście ze sobą dosyć blisko.

- Ja blisko z Ivorem?! - Popatrzyła na niego tak, jakby jej właśnie zarzucił ludobójstwo. - Nigdy za nim nie przepadałam, a na imprezie zniechęciłam go do końca.

- Hm...

- Albo mi się wydaje, albo widzę w twoich oczach powątpiewanie - zauważyła. - Nie

wierzysz w to, co mówię? - Przechyliła nieco głowę i zaczęła mu się przyglądać.

- Wierzę, tylko że chodzenie z kimś w objęciach to trochę dziwny sposób na okazywanie, że się go nie lubi. Nie uważasz?

Stella aż się zachłysnęła.

- A, o to ci chodzi...

Chwilę trwało, zanim przyswoiła wiadomość, że Robin widział ją podczas imprezy, kiedy prowadziła Ivora do domu. Fakt, że był tego świadkiem, był mniej zaskakujący niż to, jakie wyciągnął z tego wnioski.

Nagle wszystko wydało jej się jasne - wcześniejsze wyjście Robina z imprezy i jego późniejsze zachowanie. Myliłam się, sądząc, że zraziłam go swoją zaborczością, pomyślała z nadzieją, ale zaraz przemknęło jej przez głowę, że nie powinna budzić w sobie nadziei, bo przecież teraz też może się mylić.

- Naprawdę uważałeś, że... - skrzywiła się na samą myśl o tym, że mogłaby ją coś łączyć z Ivorem - że ja i on...

Robin skinął głową. Twarz Stelli wyglądała teraz tak szczerze, że nawet nie przyszło mu na myśl, że malująca się na niej odraza mogła być udawana. A poza tym po raz pierwszy od miesiąca zdał sobie sprawę, jak obraźliwe dla tej miłej, dobrej dziewczyny było posądzanie, że coś ją łączy z tamtym okropnym typem.

- Przepraszam, ale tak było - przyznał ze skrucą.

Stella opuściła ramiona, przez chwilę kręciła głową, po czym, starając się nie pominąć żadnego szczegółu, opowiedziała, co działo się na przyjęciu po tym, gdy rozstali się na parkiecie.

Kiedy skończyła, długo mu się przyglądała, zanim odważyła się zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju:

- Czy to dlatego wyszedłeś wcześniej z przyjęcia?

W pierwszym odruchu Robin chciał zaprzeczyć, ale usta same powiedziały:

- Tak.

Nie żałował tego. Gdyby, zamiast gubić się w bezsensownych domysłach, odważył się porozmawiać z nią szczerze zaraz po przyjęciu, miniony miesiąc nie byłby dla niego taki okropny.

W ciągu ostatnich tygodni sytuacja w domu bardzo się poprawiła. Ojciec czuł się coraz lepiej, firma ubezpieczeniowa wreszcie zdecydowała się wypłacić mu odszkodowanie, mama mogła zrezygnować z pracy w pralni, brat dotrzymał słowa i przestał się zadawać z typami spod ciemnej gwiazdy. Rodzina powoli zaczynała z powrotem normalnie funkcyj-

nować, a mimo to Robin cierpiał. Dopiero teraz, kiedy dowiedział się od Stelli, jak było naprawdę, poczuł ulgę, uzmysłowił sobie, jak bardzo był nieszczęśliwy.

Ivora nie było już od kilku tygodni, kiedy Robin zdał sobie sprawę, że szkoła stała się o wiele przyjemniejsza. Nie dlatego, że zniknął Ivor. Wciąż pozostało w niej kilka osób jego pokroju, może nie tak aroganckich, ale jednak niezbyt sympatycznych - choćby Ellen Wayne. Tyle że Robin już ich nie widział. Nawet jeśli zdarzały się chwile, kiedy czuł się przez nich dotknięty, nie burzyło to jego spokoju, ponieważ osoba, na której najbardziej mu zależało, nigdy w żaden sposób go nie uraziła. Co więcej, wciągała go w krąg swoich znajomych, tak że z każdym dniem czuł się w szkole coraz mniej obco.

- Jedziemy jutro nad ocean - powiedziała któregoś piątku, kiedy jedli razem lunch. - Ja, Zach z Guliką, Evelyn McCarthy i Tom Blanchett. Nie wybrałbyś się z nami?

Od czasu imprezy u Stelli ani razu nie spotkali się poza szkołą. Nie dlatego, że nie miał na to ochoty. Przeciwnie, rozmowy na przerwach i w stołówce przestały mu już wystarczać, a weekendy - dwa i pół dnia bez niej - stały się istną męczarnią. Wiele razy chciał ją zapytać, czy nie spotkałaby się z nim w sobotę albo w niedzielę, nigdy się jednak na to nie odważył. Bo co mógł zaproponować dziewczynie przyzwyczajonej do luksusu? Hamburgera i frytki w MacDonalddie? Albo pizzę w Pizza Hut? Że też nie przyszło mi do głowy, żeby pojechać z nią nad ocean! - pomyślał teraz, kiedy o tym wspomniała.

- Szkoda, ale jutro nie mogę - powiedział z żalem.

- Nie możesz czy nie chcesz? - spytała nieśmiało.

Jasne, że chciał, i to jak! Lubił całą wymienioną przez nią czwórkę. A do tego Evelyn i Tom, podobnie jak Zach i Gulika, byli parą. Gdyby wybrali się w szóstkę, być może poczułby się tak, jakby on i Stella również stanowili parę.

- Bardzo bym chciał, ale mam jutro w domu rodzinną imprezę, z której nie mogę się wykręcić.

- Rozumiem - powiedziała, uśmiechając się. - Urodziny albo rocznica ślubu rodziców, tak?

- Urodziny.

- Mamy, taty czy Seana?

Zrobiło mu się ciepło wokół serca, kiedy zdał sobie sprawę, że zapamiętała imię jego brata, o którym wspomniał dwa, może trzy razy.

- Moje - odparł cicho.

- Twoje?! I mówisz mi o tym dopiero teraz?! Masz jutro urodziny, urządzasz imprezę i ja nic o tym nie wiem?

- Nie urządzam imprezy - powiedział. - W każdym razie nie takiej, o jakiej myślisz.

- A skąd wiesz, o jakiej myślę?

- No, wyobrażam sobie, że o takiej, jaka była u ciebie.

- A jaka będzie twoja?

- Rodzina, ciotki, wujkowie, kuzyni i kuzynki - odparł Robin, wierząc, że obraz nudnego rodzinnego przyjęcia tak ją zniechęci, że nie będzie więcej wypytywać.

- Żadnych znajomych? Kolegów, koleżanek? Nie potrafił jej okłamywać.

- Dwóch kolegów z mojej dawnej szkoły. Uśmiechnęła się, ale im dłużej się jej przyglądał, tym bardziej był pewny, że jej szare oczy za okularami w tytanowych oprawkach - od jakiegoś czasu nie nosiła już tych z drucianymi - są smutne.

Nawet nie wiedział, jak to się stało, że ujął jej dłoń. Kiedy zorientował się, że to zrobił, chciał ją cofnąć, ale przytrzymała jego rękę.

- Stella, uwierz mi, gdyby to była impreza, na której nie zanudziłabyś się na śmierć, byłabyś pierwszą osobą, jaką bym zaprosił.

- Zrób to - poprosiła cicho.

- Co? - spytał, otwierając szeroko oczy. - Chcesz, żebym cię zaprosił?

Skinęła głową.

- Naprawdę byś przyszła? - spytał z niedowierzaniem.

- Pewnie.

- A wycieczka nad ocean?

- Wybiorą się we czworo. I tak bez ciebie bym nie pojechała.

Nie mógł uwierzyć, że to powiedziała, tak samo jak nie mógł uwierzyć, że wciąż trzyma jej drobną dłoń.

- No więc zapraszam cię. - Potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić ze snu, bo to, co się działo, wydawało mu się snem. I się przebudził. - Nie, to niemożliwe. Rodzice ci nie pozwolą.

- Dlaczego mieliby mi nie pozwolić?

- Czy ty wiesz, gdzie ja mieszkam?

- W południowo - środkowym Los Angeles - odparła.

To również zapamiętała. Raczej przy niej o tym nie wspominał, ale kiedyś zapytała, więc powiedział.

- I co z tego? - rzuciła.

- Wiesz, co to za dzielnica? Byłaś tam kiedyś?

- Nie, ale chciałabym być. Chciałabym być na twoich urodzinach.

- I myślisz, że rodzice cię puszczą?

Chwilę się zastanawiała, po czym zmarszczyła nos w ten śmieszny sposób, który Robin tak lubił.

- Tata pewnie będzie wrywał sobie z głowy resztki włosów, ale zgodzi się, kiedy mama zagrozi mu rozwodem.

Groźenie rozwodem nie przyniosło żadnego skutku. Nie pomogły również łyzy Stelli. Ona i mama prosiły i przekonywały ojca do późnego piątkowego wieczoru, ale pozostał nieugięty i nie chciał się zgodzić, by córka pojechała na urodzinowe przyjęcie kolegi, którego nie znał. Na jej argumenty, że przecież nie zna nawet połowy ludzi, u których bywała na imprezach, miał jedną odpowiedź: tamci nie mieszkali w południowo - środkowym Los Angeles.

Stella poszła spać przygnębiona, zastanawiając się, jak rozmawiać z Robinem, kiedy zadzwoni, by poinformować go, że nie przyjedzie na urodziny. Wprawdzie sam napomknął, że jej rodzicom nie spodoba się dzielnica, w której mieszka, ale nie mogła mu powiedzieć, że się nie mylił. Nie lubiła kłamać, tym razem jednak uznała, że jest to konieczne. Wolała sama znieść niesmak, jaki zawsze czuła po kłamstwie, niż zranić Robina.

Przed zaśnięciem nic nie wymyśliła, a rano, idąc na śniadanie, wciąż nie miała pojęcia, co mu powie.

Mama, jeszcze w szlafroku, siedziała w jadalni przy kawie. Szlafrok był złym znakiem; oznaczał, że jeszcze się porządnie nie obudziła, a wtedy nie miała dobrego humoru i najlepiej było schodzić jej z drogi.

Stella powiedziała więc tylko „dzień dobry”, usiadła na drugim końcu długiego stołu i naląła sobie z dzbanka soku grejpfrutowego.

- A buzi? - powiedziała mama.

- Kiedy jesteś w szlafroku, wolę być od ciebie jak najdalej.

Matka uśmiechnęła się.

- Jeśli nie dasz mi buzi na dzień dobry, nie dowiesz się czegoś, co może cię ucieszyć - powiedziała tajemniczo.

Stella zerwała się z krzesła, podbiegła do niej i pocałowała ją w oba policzki.

- Mało - stwierdziła matka, więc córka cmoknęła ją jeszcze po dwa razy w każdy.

- Naprawdę się zgodził?! - zawołała.

- A skąd wiesz, że o to chodzi?

- Bo nic innego nie mogłoby mnie ucieszyć. Zgodził się?!

- Tak.

Stella pokręciła głową.

- Chyba nawet nie chcę wiedzieć, czym musiałaś go postraszyć.

- Masz rację, lepiej nie pytaj - odparła mama ze śmiechem.

Stella poszła po swój sok, po czym wróciła i usiadła naprzeciwko niej.

- Wiesz, jak się cieszę?

Matka długo przyglądała się jej rozpromienionej twarzy.

- Widzę. - Zamyśliła się na chwilę, po czym spytała: - Czy to ten chłopak, z którym tak długo tańczyłaś na swoim przyjęciu urodzinowym?

Więc jednak nie myliłam się, obserwowала nas, pomyślała Stella, przypomniawszy sobie cień w oknie sypialni rodziców, który zniknął, kiedy tylko spojrzała w górę.

- Ten - odparła nieśmiało i czekała na jakiś komentarz mamy, ale ona tylko skinęła głową, dołała do filiżanki kawy i zaczęła ją pić małymi łydkami.

- Nałóż sobie tej sałatki z homara - powiedziała po chwili, podsuwając córce miskę. - Nie mam pojęcia, co Dolores do niej dodała, ale jest znakomita.

- Rzeczywiście pyszna - zgodziła się z nią Stella. Zwykle rano nie była głodna i jeden tost całkowicie jej wystarczał. Dziś z apetytem spałaszowała dużą porcję sałatki, świeżo upieczoną cynamonową bułeczkę z miodem, a na koniec nałożyła sobie na talerz dwa plasterki melona. Ukroiła kawałek i chciała włożyć do ust, ale widelec zatrzymał się w połowie drogi.

- Coś się stało? - spytała matka, widząc przerażenie na twarzy dziewczyny.

- Nie mam prezentu! - zawołała Stella.

- To jeszcze nie koniec świata. Jest dopiero dziewiąta. Masz mnóstwo czasu, żeby coś kupić. Ja za godzinę gram w tenisa, a potem jestem umówiona w klubie. Ale Marcos może pojechać z tobą na zakupy.

- Tylko że ja nie mam pojęcia, co mu kupić.

- Marcos zawiezie cię na Rodeo Drive i coś wybierzesz.

- Na Rodeo Drive! - prychnęła Stella.

- Przecież tam zawsze kupowałaś prezenty dla swoich przyjaciół.

- Mamo, nie mogę zanieść mu prezentu z jakiegoś ekskluzywnego butik.

- Nie? - Matka zmarszczyła czoło, jakby nie miała pojęcia, w czym córka widzi problem.

- On mi przyniósł książkę, więc poczułby się zakłopotany, gdybym wyskoczyła z niewiadomo jakim prezentem.

- Rozumiem. W takim razie jedź do księgarni i też mu kup jakąś książkę.

Stella zastanawiała się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

- Nie. Po pierwsze, nie chciałabym mu dać takiego samego prezentu, jaki dostałam od niego. A po drugie, Robin jest tak odczytany, że pewnie bym się skompromitowała, gdybym wybrała mu jakąś książkę. Ta, którą mi dał, była fantastyczna.

- No to nie mam pojęcia, co ci doradzić - powiedziała mama, rozkładając ręce.

- Już wiem! Muszę lecieć, pa! - zawołała Stella, wstając od stołu. - I jeszcze raz dziękuję za to, że przekonałeś tatę - dodała, zatrzymując się na progu jadalni.

Stella kończyła malować rzęsy, kiedy rozległ się dzwonek interkomu. Odłożyła spiralkę i podniosła słuchawkę.

- Nie chcę panienki popędzać, ale jest już za piętnaście siódma, a mieliśmy wyjechać o wpół - powiedział Marcos.

- Będę na dole za pięć minut.

Zeszła, a właściwie zbiegła, dopiero po dziesięciu.

Marcos wysiadł z samochodu i wyciągnął ręce, żeby odebrać od niej nieoprawiony obraz na blejtramie.

- Włóż go, proszę, do bagażnika - powiedziała Stella. - Tylko uważaj, bo jeszcze jest mokry.

Marcos wyglądał dosyć komicznie, kiedy robiąc to jak najdelikatniej, ostrożnie wziął obraz w swoje wielkie dłonie i umieścił w bagażniku. Zanim zatrzasnął klapę, chwilę przyglądał się portretowi.

- *Es mas lindo, este muchacho* - rzucił pod nosem, otwierając przed nią drzwi samochodu.

Nigdy mu się nie przyznała, że zna hiszpański, przynajmniej na tyle, by zrozumieć, co teraz powiedział: bardzo przystojny chłopak.

- Mógłbyś dzisiaj pojechać trochę szybciej? - poprosiła, kiedy ruszyli.

- Nie wolno mi przekraczać dozwolonej prędkości - odparł. - Specjalnie, kiedy wożę panienkę.

- Zwłaszcza, Marcos - poprawiła go. - Zwłaszcza, a nie specjalnie - dodała i uśmiechnęła się, widząc, że strzałka szybkościomierza przesuwają się z sześćdziesięciu na osiemdziesiąt kilometrów.

Kiedy pół godziny później wjechali do południowo - środkowego Los Angeles, poczuła się tak, jakby nagle znalazła się w innym świecie. Zaniedbane domy, graffiti na murach, dziury w jezdni, walające się pudła, puszki i butelki, podejrzenie wyglądające typy... Widok był dosyć przygnębiający. Dopiero teraz zrozumiała obawy Robina, że rodzice nie pozwolą jej tu przyjechać, i zastrzeżenia ojca.

Marcos nigdy przy niej nie korzystał w samochodzie z GPS - a. Nie był mu potrzebny, ponieważ znał dobrze drogę do miejsc, do których ją woził. Dziś jednak go włączył.

- Panienka jest pewna, że nie pomyliła adresu? - spytał, gdy zbliżali się już do celu.

- Nie pomyliłam.

- Hm...

- Wiesz, Marcos, akurat ciebie nie podejrzewałabym o snobizm.

- Nie wiem, co to jest snobizm - przyznał się.

- To jest... - Zastanawiała się przez chwilę, jak mu to przystępnie wytłumaczyć, ale fakt, że była już pół godziny spóźniona, oraz mało przyjazne otoczenie, w jakim się znalazła, nie sprzyjały myśleniu. - W każdym razie nie jest to nic dobrego.

- Tyle to i sam wiedziałem. Niech panience będzie, że jestem tym tam... snobem, ale i tak mi się tu nie podoba i wcale się nie dziwię, że ojciec nie chciał panienki puścić.

- Marcos, jadę na urodziny kolegi, który chodzi ze mną do szkoły. To porządny chłopak.

- To ten z portretu?

- Tak.

- Przystojny.

- To akurat jest najmniej ważne - rzuciła Stella i udała, że nie dostrzega lekko kpiącego uśmiechu Marcosa. - Ważne jest, że to bardzo wartościowy chłopak. Myślisz, że łatwo wyrwać się stąd - zatoczyła ręką łuk - i dostać się do takiej szkoły jak moja, nie mając zaplecza w postaci nadzianego tatusia?

- Myślę, że nie jest łatwo - zgodził się z nią Marcos.

- No widzisz. A Robinowi to się udało, i to wyłącznie dzięki własnej pracy, inteligencji i wytrwałości.

- Ho, ho... *Señorita esta enamorada* - mruknął pod nosem, ale go usłyszała.

I zrozumiała. Zaczerwieniła się po cebulki włosów. Sama przed sobą nie przyznawała się do tego, że jest zakochana w Robinie, ale teraz, gdy Marcos powiedział to po hiszpańsku, nie potrafiła zaprzeczyć.

Żeby nie dostrzegł jej rumieńców, odwróciła głowę i udawała, że patrzy przez okno.

Właśnie mijali grupę chłopaków w białych T - shirtach i czarnych spodniach. Na ramionach mieli tatuaże, a w twarzach coś takiego, że po plecach Stelli przeszły ciarki. Cieszyła się, że odgradza ją od nich kuloodporna szyba.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Marcos, zatrzymując się na poboczu. - Numer sto czternaście.

Stella zobaczyła niewielki parterowy dom. Był skromny, ale wydawał się znacznie bardziej schludny niż większość tych, które mijali, a mały ogródek pełen kolorowych kwiatów dodawał mu uroku.

Przez całą drogę powtarzała sobie, że to, w jakim domu mieszka Robin, nie ma

żadnego znaczenia, a jednak miało, bo teraz wyraźnie się ucieszyła, że ten nie jest rudera, otoczoną wysypiskiem śmieci albo złomowiskiem.

Kierowca zamierzał wysiąść, Stella go jednak powstrzymała, kładąc mu rękę na dłoni.

- Marcos, nie mów tacie - poprosiła cicho.

- Czego?

- Tego, co powiedziałeś przed chwilą.

- A panienka skąd wie, co powiedziałem? Przecież panienka nie zna hiszpańskiego.

- Trochę znam.

- Nic nie powiem, ale panienka musi mi obiecać, że będzie uważać.

- Obiecuję. Aha... I nie wysiadaj, proszę. - Patrząc na dom, zauważyła, że w jednym z okien poruszyła się firanka. Nie chciała, żeby ktokolwiek widział kierowcę w czapce i liberii, otwierającego przed nią drzwi jak przed udzielną księżną. - Wciśnij tylko przycisk od bagażnika, żebym mogła wyjąć obraz.

- Czemu mam nie wysiadać?

- Bo cię o to proszę.

Nie wiadomo, czy domyślił się, dlaczego zależało jej na tym, żeby się nie pokazywał, ale spełnił jej prośbę.

- Gdyby coś się działo, wystarczy nacisnąć ten guzik - powiedział, wkładając jej do ręki biper.

- Nic się nie może dziać. Wracaj do domu i przyjedź tak, jak się umówiliśmy, kwadrans przed północą.

Marcos wysłuchał jej do końca i zdecydowanie pokręcił głową.

- Nigdzie nie jadę.

- Jak to? Nie zamierzasz chyba tutaj stać?

- Tak kazał pan Yates. Podwieźć panienkę i czekać pod domem.

- Nie zrobisz mi tego - powiedziała błagalnym głosem. W innym oknie domu zobaczyła trzy sylwetki. - Marcos, nie chcę, żeby myśleli, że jestem rozpuszczoną panienką, na którą biedny kierowca musi czekać prawie pięć godzin.

- Wcale nie jestem biedny. Czekając na panienkę, będę mógł obejrzeć mecz. - Chcąc jej to udowodnić, włączył przycisk małego telewizora umieszczonego pośrodku tablicy rozdzielczej. - W domu Conchita nie dałaby mi obejrzeć go w spokoju. Jak tylko włączam kanał sportowy, od razu czegoś ode mnie chce. Marcos, zrób to, Marcos, zrób tamto... Taka już jest. A tu mam swój telewizor i kanapki - wskazał plastikowe pudełko - a nawet kawę - dodał, unosząc termos. - Może się panienka o mnie nie martwić.

- Nie chcę, żeby cię tu widzieli - powtórzyła Stella.

- Przykro mi, panienko, ale nic się z tym nie da zrobić. Dostałem od pana Yatesa wyraźne polecenie. Zawieźć panienkę i czekać.

Słyszając determinację w jego głosie, Stella zdała sobie sprawę, że w tej kwestii niewiele wskóra.

- Nie odjechałbyś przynajmniej kawałek? - Odwróciła się i spojrzała na ulicę. - O, zobacz, mógłbyś na przykład stanąć tam, przy tym żółtym domu.

- No dobrze, niech tak będzie.

- Marcos, jesteś kochany!

- Dużo mi z tego przyjdzie, jak mi pan Yates urwie łeb.

- Nie bój się, nie urwie. O niczym się nie dowie - zapewniła go i wysiadła z samochodu.

Tak się śpieszyła, że wyjmując obraz z bagażnika, rozmazała mokrą farbę na jednym z jego rogów. Na szczęście było to tylko tło, a nie fragment twarzy, i udało jej się rozprowadzić farbę tak, że nie pozostał żaden ślad. Poza tymi na jej palcach, ale tych nawet nie zauważyła.

W domu O'Rourke'ów panował nieopisany hałas. Niewielki salon ledwie mógł pomieścić ponad trzydziestu gości, a ścianom groziło zawalenie z powodu liczby decybeli. Szóstka dzieci - młodszy kuzyni Robina oraz potomkowie jego starszych kuzynów - drąc się wniebogłose, ścigała się między meblami, a mężczyźni oglądali transmisję meczu Raidersów z Chargersami z San Diego, zagrzewając do walki swoich zawodników, jakby ci mogli ich usłyszeć. Żony, oczywiście, miały im to za złe, i te, które akurat nie były w kuchni i nie pomagały matce Robina w ostatnich przygotowaniach, próbowały bezskutecznie namówić mężów, by wyłączyli telewizor. Młodzież - kuzynki i kuzyni Robina oraz Toby i Steven, przyjaciele z jego dawnej szkoły - stłoczyła się w kącie salonu i przekrzykiwała nawzajem, opowiadając sobie najświeższe wieści. Nawet Finnowi, staremu kundlowi, który dostał swoje imię na cześć jednego z legendarnych bohaterów irlandzkich - odpowiednika Robin Hooda - udzieliło się ogólne podniecenie i choć ostatnio większą część życia spędzał, śpiąc na posłaniu w przedpokoju, dziś biegał, utykając na prawą łapę.

- Już chyba przyszli wszyscy, którzy mieli być, prawda? - spytała Abigail, widząc, że Robin odsuwa firankę w oknie, by wyjrzeć na zewnątrz.

Wiedział dobrze, kogo brakuje, ale nikt poza rodzicami i Seanem nie miał pojęcia, że zaprosił koleżankę z nowej szkoły. Nie wspomniał o tym, ponieważ wątpił, że Stella się pojawi. Wprawdzie nie zadzwoniła, a umówili się, że jeśli z jakiegoś powodu nie będzie mogła przyjechać, da mu znać. Nie odezwała się, ale i tak nie wierzył, że rodzice pozwolą jej przyjść. Od piętnastu minut co jakiś czas podchodził do okna, by sprawdzić, czy nie podjeżdża.

- Nie ma jeszcze Isolde i Liama - zauważyła Abigail.

- Nie będzie ich - rzekł Robin. - Isolde dzwoniła dzisiaj do mojej mamy. Ich mała się rozchorowała i nie przyjadą.

- Więc są już wszyscy.

Nic nie odpowiedział. Znów odsunął firankę i poczuł, jak ze zdenerwowania miękną mu nogi. Pod domem stał samochód, którego jeszcze przed chwilą tam nie było. Miał zaciemniane szyby, Robin nie mógł więc zobaczyć, kto siedzi w środku. Ale tak luksusową limuzyną mogła przyjechać tylko ona. Czekał, aż otworzą się drzwi i ukaże się Stella, z jakiegoś jednak powodu z tym zwlekała.

Przemknęło mu przez myśl, że może przestraszyła się okolicy i w ogóle nie wysiądzie. Po chwili uzmysłowił sobie, że to, że on jej nie widzi przez zaciemniane szyby, nie oznacza

jeszcze, że ona nie może go zobaczyć. Zasunął więc szybko zasłonę i odszedł kilka kroków od okna. Scarlet, sześciolatka córka jego kuzyna Iana, przewróciła się podczas bieżącego biegu po pokoju i nabiła sobie guza. Jej mama zaczęła Iana robić wyrzuty, że zamiast pilnować dziecka, ogląda mecz. Raidersi właśnie zdobyli punkt i mężczyźni głośno wiwatowali. Finn, podenerwowany tym hałasem, zaczął szczekać.

Patrzącemu na to zamieszanie Robinowi przyszło do głowy, że może lepiej by było, żeby Stella tego wszystkiego nie widziała. Ledwie jednak zdążył tak pomyśleć, usłyszał podniecony okrzyk brata.

- O rany! Pod naszym domem parkuje Bentley!

- Prawdziwy Bentley, jak bożę kocham - potwierdził Bruce, jego kuzyn, który stał z nim przy oknie.

Natychmiast dołączył do nich ich rówieśnik Alec.

- I wysiada z niego jakaś laska - zauważył.

- Sean, nie róbcie mi obciachu i odejdźcie od tego okna - poprosił brata Robin.

- Jaki znowu obciach?

- Posłuchaj mnie przynajmniej w moje urodziny.

- No dobrze.

Zanim Robin wyszedł z salonu, upewnił się, że brat zrobił to, o co go poprosił. Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że tata dał się przekonać mamie i ku niezadowoleniu innych mężczyzn, wyłączył telewizor, przez co poziom decybeli w domu trochę się obniżył.

Wyszedł do przedpokoju, chcąc być przy drzwiach, kiedy rozlegnie się dzwonek. Wolał nie ryzykować, że otworzy je, na przykład, jego kuzyn Patrick, którego język raczej by się Stelli nie spodobał, albo ciotka Maureen, która zanim pozwoliłaby jej przestąpić próg domu, zagadałaby ją na śmierć.

Kiedy otworzył drzwi, cofnął się przerażony, zamiast Stelli ujrzał bowiem swoją twarz. Dopiero po chwili opuściła portret na tyle, że zobaczył jej czoło i oczy.

- Przepraszam za spóźnienie, ale malowanie tego - poruszyło obrazem - zajęło mi więcej czasu, niż myślałam.

Robin nie chodził z nią na plastykę, ale na szkolnej wystawie prac uczniów wisiły dwie namalowane przez nią akwarele i wiedział, że jest uzdolniona plastycznie, nigdy by się jednak nie spodziewał, że potrafi tak oddać podobieństwo, i to malując bez modelu.

- Naprawdę sama to namalowałaś? - spytał z niedowierzaniem.

Dziewczyna skinęła głową.

- Ale jak? Przecież nawet nie miałaś mojego zdjęcia.

- Miałam kilka szkiców - przyznała się. - Czasem, kiedy tego nie widziałeś, rysowałam cię. No i dzisiaj, kiedy zastanawiałam się nad urodzinowym prezentem dla ciebie, przypomniałam sobie o nich. Proszę. - Niezgrabnie poruszyła obrazem, nie wiedząc, jak go mu wręczyć. - Tylko uważaj, bo jest jeszcze mokry. I przepraszam, że nie zdążyłam go oprawić.

- Oprawiony czy nie, to i tak najpiękniejszy urodzinowy prezent, jaki w życiu dostałem - powiedział, wyjmując go ostrożnie z rąk Stelli.

Dopiero teraz mógł się jej przyjrzeć. Ubrała się znacznie skromniej niż na swoje urodziny. Miała na sobie prostą szarą spódniczkę i białą bluzkę, buty na płaskim obcasie, a na włosach przepaskę, tyle że nie niebieską jak w szkole, a czarną, aksamitną. Być może nie wyglądała tak oszłamiająco jak wtedy, ale świeżo i wdzięcznie. I taka podobała mu się jeszcze bardziej.

Ledwie zdążyła mu złożyć życzenia, przedpokój zaczął się wypełniać. Mama Robina i jej dwie siostry wyszły z kuchni. Sean, skoro nie mógł patrzeć przez okno na Bentleya, wołał przyjść do przedpokoju, a za nim podążyli Bruce, Alec i dwie kuzynki. A do tego maluchy uznały, że w przedpokoju jest więcej miejsca, i się tu przeniosły. Ci, którzy byli w przedpokoju, i ci stojący na progu salonu i wyciągający szyję, żeby zobaczyć coś ponad głowami innych, z równą ciekawością przyglądali się nieznajomej dziewczynie, jak portretowi, który przyniosła.

Robin wyobraził sobie, jak się musi czuć Stella. Nie chciałby się znaleźć pod takim ostrzałem spojrzeń i postanowił zrobić coś, żeby ją od tego wybawić. Ale jeśli myślał, że wystarczy ogólna prezentacja, to się pomylił.

Nie miał pojęcia, jak do tego doszło, ale Stella musiała się witać z każdym z osobna. Trwało to dobre pół godziny, czemu trudno się dziwić, zważywszy, że przez ponad kwadrans nie mógł jej odciągnąć od ciotki Maureen, która na nieszczęście знаła jakichś Yatesów i wypytywała Stellę o rodzinne koneksje dopóty, dopóki nie zdobyła całkowitej pewności, że ci jej Yatesowie nie są w żaden sposób ze Stellą spokrewnieni.

Niestety, potem przypomniała sobie, że zna jeszcze innych Yatesów i już chciała zacząć przesłuchanie od początku, ale mama Robina uratowała dziewczynę, mówiąc, że kolacja jest już gotowa, i zaprosiła wszystkich do stołu, a właściwie do trzech złożonych razem stołów, przy których stały krzesła poznoszone ze wszystkich pokoi w domu i jeszcze od sąsiadów.

Dochodziła jedenasta, kiedy Stella wyszła do łazienki. Była tak oszołomiona odmiennością świata, w którym się znalazła, że kiedy już poprawiła fryzurę i umyła ręce, rozejrzała się za czymś, na czym mogłaby usiąść i trochę ochłonać. Ale pomieszczenie było malutkie - przynajmniej dla kogoś, kto mieszkał w domu, w którym łazienki były większe od salonu O'Rourke'ów - i jedynym, na czym dało się przysiąść, był sedes albo brzeg wanny. Zdecydowała się na wannę, ale ledwie usiadła, usłyszała kroki w przedpokoju, a po chwili ktoś poruszył klamką. Stella domyśliła się, że w domu nie ma drugiej łazienki, więc wyszła i minęła się w przedpokoju z jedną z kuzynek Robina.

Poznała dzisiaj tylu ludzi, że nie udało się jej zapamiętać wszystkich imion. Jej imię jednak zapamiętała, może dlatego, że kilka razy podczas kolacji, kiedy ich spojrzenia się spotkały, wyczuła we wzroku Abigail jakąś niechęć.

Stella zastanawiała się nad tym, idąc do salonu, i tak się zamyśliła, że potknęła się o posłanie Finna, który już jakiś czas temu zmęczył się bieganiem między gośćmi i spał na swoim legowisku. Teraz, wystraszony, zerwał się.

- Przepraszam, Finn, nie chciałam cię obudzić. - Przykucnęła przy nim i głaskała go, dopóki nie położył się i nie zaczął wolno merdać ogonem. - Śpij sobie spokojnie - powiedziała i kątem oka zauważyła jakiś ruch.

To Robin wyszedł z salonu i jej się przyglądał. Kiedy uśmiechnęła się, podszedł do niej i również przykucnął przy psim posłaniu.

- Bardzo się nudzisz? - zapytał.

- Nudzisz? - Wyciągnęła rękę w stronę salonu, z którego dochodziły odgłosy rozmów i śmiechy, płacz jednego z maluchów i dźwięk gitary, którą przyniósł Toby. - Czy tu można się nudzić?

- Nie wiem, ale myślę, że jesteś przyzwyczajona do innych przyjęć.

- To prawda, ale nie nudzę się. Tylko...

- Tylko co?

- Nie wiem, jak to wyrazić. Czuję się trochę jak...

- Jak? - Robin podejrzewał, że Stella nie ma w tej chwili kłopotów ze sprecyzowaniem myśli, tylko raczej się boi powiedzieć coś, co mogłoby go urazić. A bardzo chciał, nawet gdyby miało go to zabołec, usłyszeć szczerą odpowiedź.

- Jak turystka. Właśnie! Czuję się trochę jak turystka.

Uśmiechnął się.

- Dlaczego się śmiejesz? - rzuciła. - To wcale nie jest śmieszne. A wiesz dlaczego?

- Dlaczego? - spytał, nie przestając się uśmiechać.

- Bo chyba nikt nie lubi turystów. Uśmiech Robina był coraz szerszy.

- Śmiejesz się, bo uważasz, że to, co mówię, jest głupie? - zapytała Stella.

- Nie, sam tak kiedyś myślałem i właśnie dlatego się uśmiecham. Bo ja się uśmiecham, a nie śmieję.

Stella już dość długo trwała w mało wygodnej pozycji. W pewnym momencie zabolą ją kontuzjowane pół roku temu kolano i się zachwiała. Robin objął ją, a kiedy odzyskała równowagę, nie zdjął ręki z jej ramienia.

- Naprawdę ci się wydaje, że ktoś cię tu nie lubi? - spytał, patrząc jej w oczy.

Nie słyszeli, że Abigail wychodzi z łazienki, zobaczyli ją dopiero, kiedy przechodziła obok nich.

- Kto? - spytał, gdy kuzynka weszła do salonu.

- Na przykład ona - szepnęła Stella. Roześmiał się.

- Abigail nie lubi żadnej dziewczyny, która jest ładniejsza od niej.

Stella chciała zaprotestować, bo, według niej, Abigail była bardzo atrakcyjną dziewczyną, ale Robin nie dał jej dojść do głosu.

- Ciebie nie można nie lubić. Moja mama cię polubiła. Powiedziała mi o tym, kiedy pomagałem jej zanosić naczynia do kuchni. Sean uważa, że jesteś fajna. Nie powtórzę ci, co mówił o tobie mój kuzyn Patrick, bo jego język mógłby ci się nie spodobać, ale uwierz mi, że to był komplement.

Twarz Stelli znów powoli zaczęła się rozjaśniać. Finn zasnął i pochrapywał cicho.

- A co do turystów - ciągnął Robin - to, kiedy wychodziłem' z twoich urodzin, właśnie tak myślałem, że byłem tam tylko turystą, a tych nikt nie lubi.

- To nieprawda. Ja... Ja...

Oczywiście, że go lubiła, ale zamiast tego słowa, cisnęło jej się na usta inne, którego nie miała odwagi wypowiedzieć.

- Ja też... - szepnął Robin. - Ja też cię kocham. Finn, którego dotąd przez cały czas głaskała prawą dłonią, obudził się, kiedy przestał czuć na grzbiecie jej palce. Otworzył jedno oko, ale widząc, co się dzieje, uznał, że nie ma już szansy na dalsze pieszczoty, i zasnął z powrotem.

- Ale sobie znaleźliśmy miejsce na pierwszy pocałunek - powiedziała Stella, kiedy ich usta się rozłączyły. Wciąż była blisko Robina, wtulona policzkiem w jego szyję.

Wydało jej się, że coś słyszy, przesunęła nieco głowę i spojrzała ponad jego

ramieniem.

W drzwiach salonu stała mała Scarlet, której guz przybrał już rozmiary niemałej śliwki. Dziewczynka uśmiechała się do niej, pokazując dziurę po mlecznej jedyńce.

- Masz rację - powiedziała Stella do Robina. - Nie wszyscy nie lubią turystów. Ona chyba mnie lubi.